

PAMIĘTNIKI
LEKARZA POLSKIEGO

PRZEZ

Dra T. Tripplin.

SERYJA DRUGA.

Tom I.

Sowgwillowicowie

WARSZAWA.

Nakład i druk **S. Orgelbranda** Księgarza i Typografa.

1857.



5113

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

w Warszawie dnia 29 Maja (10) Czerwca 1856 r.

p. o. Starszego Cenzora, Radca Honorowy,

A. Broniewski.

Archiwum 106/53/15

MA

Sowgiłłowiczowie

ROZDZIAŁ I.

Szczęśliwa Starość.

Bodajto jednakże być silnym i młodym, kochany panie Macieju, — rzekłem do starca rozwodzącego się tyle nad urokami wieku zgrzybiałego, że mnie już nareszcie zaczynała brać jakaś dziwna chorobliwa chętka przyspieszenia sobie biegu życia, dla używania onych uroków zgrzybiałości, tyle zachwalonych przez mojego starego przyjaciela.

— Bodajto jednakże być silnym i młodym, i do tego jeszcze pięknym, wesołym, przyjemnym, bogatym i utalentowanym, na to z całego serca przystaję, — odrzecz mi starzec. — Któżby

nie chciał używać wszystkich darów przyrody, trafu, fortuny, talentu a nadewszystko wszystkich błogosławieństw Boga jak najdłużej; ależ to przecież nie jest w widokach Opatrzności, żebyśmy na tym świecie wiecznie pozostawali; zabrakłoby nam wreszcie miejsca na tym planecie; wreszcie, możebyśmy się i znudzili jednostajnością ziemskiego bytu. Nie! dla wyrobienia w sobie duszy godnej lepszego losu i wyższego szczęścia, przebiegać musimy kolejno wszystkie wieki; musimy się wystawiać na wszystkie niebezpieczeństwa grożące nam najprzód ze strony naszej niedoleżności fizycznej i moralnej, potem ze strony wszechstronnego młodocianego rozwoju sił naszych, jeszcze później ze strony nadmiaru tychże sił w wieku młodzieńczym, nareszcie stopniowo, stopniowo wystawiać się musimy w wieku zgrzybiałym na wszystkie niebezpieczeństwa i zmartwienia pochodzące z widoku zbliżającej się śmierci. Więc przecież na to już się zgodziliśmy, bo jesteśmy chrześcijanami *prawie* jednego wyznania, więc stworzeni jesteśmy na tym tu świecie, ubrani w owo ciężkie ziemskie ciało tyłko na to, żebyśmy sobie

zasłużyli na jakieś lżejsze i wygodniejsze ubranie. Jeden umiera w dzieciennym wieku nie wiedząc że żył, nie przebudziwszy się duszą do żadnego uznania trudnych obowiązków, zaciągniętych posiadaniem woli kierowanej rozumem; a Bóg hojnie mu wynagrodzi na lepszym świecie wszystką już tutaj doznana boleść życia i konania. Drugi umiera nieprzebudzony duszą w późniejszym wieku, kiedy już myśleć mógł i władać wołą, i takiemu jeszcze miłościwy Stwórca przyświecać będzie łaską swoją w miarę zasług położonych boleściami, w miarę okoliczności umyślnych lub nieumyślnych, na losie jego ciążących lub nań jakikolwiek bądź wpływ wywierać mogących. Jeszcze inny żyje i umiera nie chcąc wiedzieć że żyje i że umrzeć musi, żyje jak zwierzę, obdarzony będąc władzami człowieka; takiemu niech będzie ziemia lekką, ziemia, ten padół płaczu i męki, z którego on zrobił widownią uiedorzeczności, ohoty i zbrodni swoich. A nakoniec jeszcze inny długo żyje, bardzo długo mozoli się i błąka, nim przyjdzie do uznania posłannictwa swojego, ale Bóg łaskaw, nie odwraca się od niego, udziela mu moc prze-

trwania zasłużonych niedoli, nawraca go do siebie, nadaje mu nigdy wprzód nie posiadaną siłę, spokojność duszy, nawet szczęście, nawet zdrowie, nawet majątek, i robi z rozprężonego ścigacza za wrażeniami, spokojnego, bliźnich kochającego, Boga chwającego chrześcijanina. A zatem — a zatem mój młody przyjacielu, widzisz, że i wiek zgrzybiały ma swoje uroki. Jestem starym, bardzo starym, lecz duch swobodnie we mnie przemawia od lat kilkunastu, swobodniej jak kiedykolwiek; używam życia tego powabów wolny od nagabywań namiętności, wolniejszy od cierpień jak w młodszym wieku. Słowem, czuję się szczęśliwszym, oczekuję z pogodnym czołem i z wypogodzoną duszą owęj ostatniej chwili, w której przejdę z tego świata w inny, zapewne lepszy.

Uciał mowę staruszek, ale nim ją uciał, wydobyl okulary z puzderka, przetarł je rękawiczkami, i wsadził je na kościsty nos swój, wpatrując się w fizyjonomiją moję zapewne z ciekawości, czy tam nie ujrzy odgłosu słów swoich uczuciami brzemiennych.

Znalazł go, bo jakże tu odmówić odgłosu ta-

kim pocziwym, przeświadczeniem religijném tchnącym zdaniem? Znalazł go w zadawalniającej zupełności, bo ręką mnie uściskał kościstą, zimną ale bardzo krzepką i szczeremi uczuciami drgającą.

— A cóż panie Teodorze, nie przekonałem cię? czyż i wiek zgrzybiały uroków swoich nie ma? ja w téj chwili doświadczam tych uroków, bo chociaż skorupkę dorzuciłem do tego skarbu myśli, które ciebie zwrócą z drogi światowości, i to mi sprawia niewypowiedzianą przyjemność, że Bogu i ludziom służyć jeszcze mogę w tym wieku podeszłym, przeszedłszy przez tyle burzliwych kolei losu. Tak młody mój przyjacielu, tyle masz o starości ze stanowiska religijnego; teraz uważajmy ją z punktu fizyologicznego. Starość chociaż sama w sobie naturalnym jest skutkiem życia a początkiem śmierci, może jednakże posłużyć za środek do przedłużenia dni naszych. Wprawdzie, w starości nie wzrastają siły żywotne, ale ich wyczerpanie opóźnia się w téj fazie życia, i z tego względu można nawet utrzymywać, że człowiek w ostatnim peryjodzie życia, w czasie już umniejszonej siły przedźjby przy-

szedł do ostatniego kresu, gdyby się nie starzał, to jest, gdyby żył z młodzieńczą działalnością i żywością. Śmierć nastąpiłaby musiała jeszcze szybciej, tak szybko jak następuje u owych starców nieumiejących się pogodzić z koniecznością starości, nieumiejących się doń zastosować, chcących żyć aż do ostatniej chwili w sprośnych rokoszach i wyczerpanymi siłami. I w tém jeszcze znajdujemy pewną korzyść w starości, że ubywanie natężenia życia z wiekiem, przedłuża jego trwałość, że pomniejszona drażliwość zmniejsza także wpływ szkodliwych wrażeń i chorobliwych przyczyn, naprzykład poruszeń umysłu, rozgrzania, zaraz i epidemii. Słowem, bodajto być starcem mającym z czego żyć, a mądrym, wierzącym, z koniecznością śmierci pogodnym, O! wielką miał słusność Cycero w tém wszystkim co napisał dobrego o starości.

* * *

Taka się toczyła rozmowa dziesięć lat temu przeszło, pomiędzy panem Maciejem a mną w ogrodzie botanicznym miasta Edynburga.

Ale kimże był ten pan Maciej?

Oczywiście kwakrem, bo na głowie siwiuteńkiej nosił popielaty kapelusz z niską główką a szerokimi skrzydłami, bo najsumienniejsz golił twarz swoją zmarszczoną, ale czerstwą i jeszcze miłą; bo się ubierał we frak sieraczkowy ze stojącym kołnierzem i ze stalowemi guzikami, w spodnie takiéjże barwy i płaszcz tabaczkowy z krótką peleryną.

Istotnie ten Jegomość należał do szanownéj i czcigodnéj sekty Kwaków.

Ale, rozmowa nasza toczyła się w języku polskim. Czy są polscy kwakrowie?

Znałem ich kilku w Anglii i w Szkocyi, ale najpierwszym kwakrem polskim był najniezawodniejsz nasz stary *brat* Maciej Natkiewicz, szlachcic litewski, którego słyszeliśmy przed chwilą w ogrodzie botanicznym Edyńburskim rozprawiającego tak wymownie i rozsądnie o starości.

Już od lat przeszło trzydziestu, to jest od 1810 r. bawi nasz ziomek w Szkocyi; nie rzadko znajdował się w styczności z rodakami, to téż wcale nie zapomniał ojczystéj mowy, owszem wysławiał się po polsku z trudną do uwierzenia

czystością i dobitnością, i nawet nie postradał owego śpiewającego akcentu litewskiego, który mnie nie tylko nie razi, ale nawet pewną sprawia przyjemność, zapewne dla tego, że kolegując z litwinami w rozmaitych stosunkach i pod różnemi niebami, bardzo ich polubiłem.

Wszyscy mieszkańcy świętego miasta Edynburga znali starego brata Mateusza, *old brother Mathews*, i kochali go jako człowieka pod wielu względami, zwłaszcza pod względem bogobojności i dobroczynności wzorowego. Posiadał on dość znaczny majątek, z tysiąc funtów rocznego dochodu dający, i wychowywał u siebie kilkoro dzieci dwóch pasierbic już nie młodych, wcześniej owdowiałych, surowej obyczajności kwakierek.

Dopiero przed rokiem, w dziewięćdziesiątym szóstym roku życia swego umarł nasz ziomek, i trzecią część majątku swojego zapisał na cele dobroczynne. Nie zapomniał w testamencie swoim własnych ziomków, pozostawił fundusz na utrzymanie jednego ziomka protestanta na uniwersytecie Edynburskim. Warto znać historiją życia tego: opowiem ją czytelnikom w tych

samych słowach, w jakich mi ją podał stary kwakier.

* * *

— Niesie nasze polskie przysłowie, — rzecze pan Mateusz: — „że kto w dwudziestym roku nie jest mocnym, w trzydziestym niemądrym, a w czterdziestym niebogatym, ten nigdy w życiu nie będzie ani mocnym, ani mądrym, ani bogatym.“ I to bardzo trafne przysłowie, tak jak wszystkie nasze przysłowia, ale na mnie dobroć jego nie sprawdziła się, bo byłem schorzałym i słabym w dwudziestym roku, nierozsądnym jeszcze w trzydziestym, a w czterdziestym tak biednym jak mysz kościelna, i dopiero w późniejszym wieku przyszedłem do zdrowia, rozumu i pieniędzy.

Więc pod tym względem należałem do wyjątków, a i dobrze że są, bo inaczej nie jeden słaby, głupi i ubogi dalby się zrazić od ubiegania się za zdrowiem, mądrością i majątkiem w późniejszym wieku.

Urodziłem się na Litwie, w Kiejdanach, dziewiątym synem bardzo ubogiego pastora kalwiń-

skiego, który oprócz chmary synów, miał jeszcze pięć córek, kilka za mąż niewydzianych siostr, i trzy ciotki pozostające w stanie Westalek strzegących swęj własnej cnoty.

Ale nasza Litwa poczciwa, sercowa, święta, nie da umrzeć z głodu żadnemu stworzeniu, i tak się stało, że doskonale wyrastali chłopcy i dziewczki ubożego pastora, i że jakoś nikomu pod jego strzechą głód nie dokuczył, czy dzieciom, czy słudze, czy gościowi.

Ale nie wysiliła się natura na moje wyposażenie, ani pod względem fizycznym, ani moralnym. Cóż podobno do szóstego roku chodzić nie umiałem, a do dziesiątego ani jednej nie znałem litery. Potem jakoś dostąpiwszy wieku młodzieńczego, raźniej się rozwijać zacząłem, i oddany do szkół w Słucku, przepychałem się przez klasy siedząc w nich tylko po dwa lata; nareszcie w roku dwudziestym drugim życia, wyglądając za ledwie na szesnastoletniego młodzieńca, złożyłem jednakże za silną pomocą kolegów egzamen dojrzałości, i kosztem stypendjum księżnej Karoliny Brandenburskiej i Neuburskiej z Ra-

dziwillów, wysłany zostałem do Królewca, aby tam się uczyć Ś-tój Teologii.

Powołania wcale nie czułem do stanu duchownego, chociażby tylko dla tego, że w naszej rodzinie prócz ojca i czterech stryjów, siedmiu braci moich i trzech szwagrów było pastarami; ale mój ojciec obarczony piętnaściorgiem dzieci, bardzo szczupłe mając fundusze, nie wiele zważał na usposobienie moje, i korzystał jak mógł najczęściej z dobrodziejstwa stypendjum Radziwillowskiego, zabezpieczającego na uniwersytecie królewieckim, czterem teologom kalwińskim wychowanie, a następnie i chleb. To też tak się stało, że czterech braci w jednym czasie uczyło się w Królewcu teologii; a ja najmłodszy, Benjamin rodziny, uczyłem się najgorzej ze wszystkich, i przyznać muszę, że nawet z pewnym wstrętem.

Ale lubilem się oddawać poetycznym marzeniom, czytaniu historycznych romansów i wierszoklectwu.

W skutek nadużywania kąpieli morskich, zapadłem na zapalenie płuc i przeniosłem się do kliniki uniwersyteckiej, w której się leczyło za-

wsze po kilku w pojedynku rannych, lub na różne choroby chorych akademików.

Tutaj w tym przybytku zdrowia, w ciągłej będąc styczności z najświetniejszymi profesorami i uczniami medycyny, nabrałem smaku do sztuki lekarskiej, i wyszedłszy z kliniki, uczęszczałem na kilka kursów medycznych z większą daleko pilnością niż na wykłady teologiczne. Chciałem połączyć jedno z drugim, duchowość i medycynę, idąc za przykładem niejednego księdza katolickiego.

Ale teologija ewangelicka niezmiernie trudna, wymaga bardzo wiele historyi, filozofii, egzegezy, łaciny, greckiego a nawet i hebrajskiego: trudno być razem dobrym lekarzem i dobrym teologiem ewangelickim; na to trzeba głowy z ogromną objętością, ja zaś takiej głowy nie posiadałem.

Pomimo odradzań ze strony profesorów, ojca i braci, wytrwałem przy tym systemacie uczenia się przez całe pięć lat, i nareszcie tyle skorzystałem z teologii i z medycyny, że nie mógł złożyć egzaminu ani z jednego, ani z drugiego, że wróciłem do Litwy bez patentu, gdzie

zatrudniał się przez lat kilka guwernerką po magnackich dworach, potem zaś korzystałem z pierwszej wojny, i zaciągnąłem się z niemalą dla rodziny mojej boleścią, jako *towarzysz* do kawaleryi narodowej.

Po rozpoczęciu wojny wkrótce nastąpiło pobicie, ranienie, wzięcie do niewoli i podróż do Kamczatki.

W Tobolsku odziedziczyłem kilka książek lekarskich i sporo narzędzi chirurgicznych po naszym zacnym doktorze Łuczniku, który razem z nami wzięty i zawieziony, wkrótce uległ srogości klimatu, i mnie przed zgonem prosił, żebym wrócił do medycyny, i użył jego książek i narzędzi ku uldze cierpiącej ludzkości.

Dałem się ubłagać, i z *wiedzą* kolegów użyłem nie tylko jego książek i narzędzi, lecz nawet jego patentu i nazwiska. Pochowaliśmy Mateusza Natkiewicza, prostego towarzysza, a doktor Baltazar Łucznik jak żył tak żył, i dobrze mu z tém było, bo i więcej miał wolności i zarabiał pieniądze, któremi się dzielił z kolegami.

A po kilku latach wesołego życia i dobrej praktyki w Kamczatce, nastąpiły utaskawienia

i powrót do kochanej Litwy, gdzie długo nie popasalem. Rozdawszy przywiezione z dalekich krajów upominki pomiędzy chmarę braci, siostr, synowców, ciotek i siostrzenic, pojechałem na Podole i tam osiedliłem się jako doktor Baltazar Łuczniak w Berdyczowie.

Bardzo mi się dobrze wiodło; pokochałem się w bogatej pięknej pannie, obywatelskiej córce, uzyskałem jęj wzajemność; po bardzo wielu trudnościach i korowodach, jestem przyjęty przez uparte go ojca i dumną mamę; już dzień naznaczony do ślubu; w tém raz, powracając do domu od mojęj pięknej i rozkochanej narzeczonej, znajduję w nim: panią doktorowę Łucznikową i siedmioro dzieci nieboszczyka Łuczniaka, którzy przybyli z Kowna, gdzie dziwnym przypadkiem dowiedzieli się, że kochany mąż i ojciec nie umarł w Toholsku, lecz w Berdyczowie żyje, i bardzo dobrze interesa swoje prowadzi.

Pani Łucznikowa, już ze czterdzieści lat mająca, wcale nie urodziwa i cokolwiek ordynarna kobiętka, rzuca mi się na szyję nazywając mnie najlepszym z mężów, dzieci padają mi do nóg, a pomiędzy niemi szesnastoletnia panna Domi-

cella Łucznikówna, nazywając mnie najlepszym z ojców, zanosząc się od serdecznego płaczu.

— Na miłość Boga!—krzychałem jak opętany—pani Łucznikowo!—w tém zachodzi omyłka, ja nie jestem mężem pani; ja mam lat trzydzieści dwa, nie mogę być ojcem szesnastoletniej panny, nieboszczyk Łucznik miałby dzisiaj lat czterdzieści sześć gdyby był żył, ale niestety! umarł pochowany daleko stąd, i nawet nie wiedziałem że zostawił wdowę i dzieci, jakoś się nigdy o tém nie zgadano, nie bardzo musiał być szczęśliwym z Jejmością.

— Oj ty, ty figlarzu, niceś się nie zmienił,—odpowié polykając mnie cheiwemi całusami pani Łucznikowa. — Oj ty, ty figlarzu, przecież nie było dwóch Baltazarów Łuczników doktorami medycyny, graduowanych dnia 15 Sierpnia 1772 roku w Lipsku, jak to twój patent doktorski wykazuje. No dosyć tych figłów, pocałuj swoją żonkę, i chodźmy spać, bo już późno. No! uściskaj twoją Domisię; patrz czy nie ładna? W Kownie uchodzi za jedną z najpiękniejszych panieli.“

Niewinna Domisia skoczyła do ust moich

z lekkością Sylfidy, i zaczęła mnie pić i połykać jak pszczołka rezedę; reszta zaś dzieci to po nogach, to po rękach z trudną do opisania serdecznością.

— Oh! Messaliny i Syreny dajcie mi pokój, ja nie wasz ojciec, ani wasz mąż, ani brat, ani swat!—krzyknę wywijając się jak Laokoon z objęć sześciu węzów.— Ha! ja miałem dopiero lat jedenaście kiedy się doktor Łuczniak doktoryzował w Lipsku, nigdy w życiu nie byłem w Lipsku, odczepcie się odemnie, żenię się za pięć dni.

— A więc prawda? nie zawodzili nas, podobno z panną Leonorą Judkową, piękną córką z bogatego dorobkowicza. No! nic z tego nie będzie. Tyś mój mąż, a ja jeszcze nie umarła, żyję i żyć będę długo tobie na złość Baltazarku.

I baba kazawszy iść dzieciom spać w salonie, w którym rozesłano bety po kanapach i krzeselkach, usiadła sobie na łóżku i zaczęła w najlepsze zdejmować pończochy.

— Dowiedz mi pani! że jestem twoim mężem, krzyknę nareszcie rozszoszczony do żywego.

— Jeżeli mnie zmusisz do dowiedzenia ci, że nim *nie* jesteś, to resztę życia przesiedzisz w kryminale mój Baltazareczku kochany, odpowie z najzimniejszą krwią przeklęty babus.

Strach mnie ogarnia; widzę przed sobą wstyd, kajdany, rusztowanie, tracę najzupełniej głowę, zabieram co mogę pieniędzy, uciekam z własnego domu i opieram się dopiero w Medyjołanie i tam wstępuję do wojska.

Dopiero w półtora roku, po naszym tryumfalnym wejściu do Rzymu, zostałem posuniętym na oficera, ale szlify moje musiałem oblać własną krwią swoją pod Marengo i pod Peschiera. W tém ostatniém miejscu tak ciężko mi rano no przy samym szturmie, żem tylko z wielką biędą uniknąć zdołał śmierci, i więcej jak półtora roku strawiłem w szpitalu medyjołańskim a później w paryskim.

Ale wyzdrowiałem nareszcie, dzięki chirurgii francuskiej, już wtenczas bardzo wysoko stojącej, i w zdumienie wprawiającej wszystkich cudzoziemców.

Szkoda żem się wtenczas nie wziął z całą siłą do medycyny, i żem się nie postarał o tytuł

choćby tylko oficera zdrowia, wydany na własne moje nazwisko. Ale pożał się Boże! nigdy nie umiałem nic w porę zrobić. W szpitalach walcząc z boleścią i z nudami, zagłębiłem się w czytaniu ksiązek religijnej treści do tego stopnia, że się we mnie nigdy wprzód niedoświadczone powołanie do stanu duchownego odezwało. Uczęszczałem o ile tylko mogłem na wszystkie nabożeństwa wyznania mojego, ale naturalnie pokryjomu, bo wówczas religija chrześcijańska jeszcze nie została urzędownie przyjęta we Francyi, dopiero we dwa lata potem Napoleon zostawszy cesarzem, przywrócił religii godność dawną.

Już byłem gotów zamienić huzarski dolman na pasterską togę, ale mnie koledzy namówili do towarzyszenia im do San-Domingo, dokąd Napoleon wysłał swego szwagra jenerała Leklerka na podbicie i ukaranie zbuntowanych murzynów.

Na téj niegodziwej wyspie o mało co nie umarłem, i to z dziesięć razy w skutek zapalenia mózgu, żółtej febry, chorób nerwowych, ran, głodu, przejedzenia, gorąca i zimna, suszy i wil-

goci, bo przez to wszystko przechodzić musiałem. Wyspa San-Domingo stała się grobem prawie wszystkich na jój podbój wysłanych francuzów i polaków.

Niedobitki wrócili do Europy.

Nie zostawiono nas długo w bezczynności. Szczuto nami tego i owego, winnego i niewinnego. My zawsze najgrzeczniejsi nie odmawialiśmy nigdy francuzowi pomocy.

Dopiero w roku 1807 wróciłem do kraju, ale nie do Litwy, i to nie na długo.

Tu się dowiedziałem, że moim braciom i siostrom przybyło z kilkadziesiąt dzieci, i że moja narzeczona panna Marszałkówna Judko poszła za mąż w dwa miesiące po mojej ucieczce z Berdyczowa, za młodszego brata doktora Baltazara Łuczniaka, także doktora, którego protegowała wdowa po nieboszczyku. Ona to umyślnie zjechała do mnie z Kowna, aby mnie z własnego domu wygonić, aby w nim osadzić szwagra, i aby go wyswatać z moją narzeczoną.

Wszystko jój się jak najlepiej udało. Była kobiećta z ministeryjalną głową.

Formują legiją nadwiślańską. Wstępuję do

niej w stopniu kapitana. Posyłają nas do Hiszpanii, gdzie się francuzom źle wiedzie. Bijemy się jak lwy przeciw narodowi, który nam nigdy nic złego nie zrobił, szturmem bierzemy wawozy i miasta, palimy wsie i magazyny, w powietrze wysadzamy fabryki, ale kościoły szanujemy, księży ani zakonników nie obrażamy, więc nas też nie tyle nienawidzą Hiszpanie ile Francuzów.

Ale, dostaję się do niewoli angielskiej i jestem odesłany na pontony stojące w zatoce Brystolskiej. Bardzo mi źle. Pomimo majorskiej rangi muszę razem z innemi pokład skrobać i myć, łóżka słać, jeść gotować, i jeszcze inne pełnić służby brudne niezgadzające się z rangą oficera, i z godnością dobrze wychowanego człowieka.

Anglicy widzieli w nas tylko najemnych żołdaków, i żadnej nie uznawali pomiędzy nami różnicy. Nasz pułkownik tyle znaczył w ich oczach ile nasz prosty żołnierz; to nas oburzało do wnętrza serca.

Jednakże, tak po roku dotkliwych cierpień, i po tak ciężkich próbach, że ich pamięć niezatarte w duszach naszych wyrzyła ślady, zaczęli się przekonywać Anglicy, że i pomiędzy nami

znajdują się ludzie wyżsi wychowaniem, zdolnościami i cnotą. Niektórzy ludzie prywatni, słysząc o częstych wypadkach samobójstwa przytrafiających się pomiędzy nieszczęsnymi niewolnikami na pontonach trzymanemi, zaczęli się zajmować losem naszym, odwiedzali nas i kupowali od nas robótki z chleba, ze słomy, z kości i z drzewa, któremi niewolnicy słodzą sobie w każdym więzieniu nudne i ciężkie chwile cierpień.

Nawet od czasu do czasu dochodziły nas jałmużny składkami zbierane.

Ale chodziliśmy w lachmanach, i do tego stopnia wyzuci byliśmy z wszelkiej sposobności zniesienia się z rodziną lub przyjaciółmi, że nawet Francuzi do najmajętniejszych rodzin należący, nie mogli dać znać familii gdzie są, i w jakim znajdują się położeniu. Sławny Ferdynand de Juniac, świetny pułkownik gwardyi cesarskiej, nasz współwięzień, tak był odartym, że nagości swojej pokryć nie mógł; Hiszpanie bowiem wzięwszy go rannego do niewoli, odarli go z bogatych sukni, Anglicy zaś odsyłając go na pon-

tony swoje, dali mu tylko lichy płaszcz woj-
skowy.

Ale jak mówię, położenie nasze zaczęło się
nareszcie polepszać, dzięki ludzkości osób pry-
watnych; rząd bowiem Anglii ani nawet dopu-
szczał, żebyśmy lepszego byli warci losu, i sro-
motną karę szubienicy wymierzał na każdego,
który się buntował lub okazywał chęć uciekania.

Raz zjawił się u nas na pontonie jakiś stary
kwakier, z twarzą nadzwyczaj miłą, pogodną a
dostojną. Widząc mnie pogrążonego w czytaniu
Biblii angielskiej, (już bowiem po niemiecku i po
francusku wprzódy umiejac, nauczyłem się ro-
zumić a nawet i mówić po angielsku), więc,
widząc mnie czytającego Pismo Święte po an-
gielsku, i tłómaczącego jój tekst kilku ewangie-
likom, współtowarzyszom niedoli, zbliżył się do
mnie, skłonił głowę bez dotykania się kapelusza,
jak to u nas kwakrów jest zwyczajem, i spy-
tał się:

— Czyś się tu na pontonach nauczył po an-
gielsku bracie?

— Tak jest, bracie.

Dałem mu także nazwę brata, bo jak wiiesz

doktorze, kwakier mówi przez *ty*, tytułów nawet królowej nie daje, nigdy nie zdejmuje kapelusza chyba w kościele, gdy jest natchnionym i kazanie mówi.

— W tak krótkim czasie nauczyłeś się mowy naszój?— rzeknie dalej sędziwy kwakier.

— Półtora roku na pontonie, to wieki, mój bracie; już przeżyłem prawie połowę moich towarzyszy niedoli razem ze mną pojmanyh, i tu przesłanych. Zresztą, umiejąc wprzódy po niemiecku i po francusku, z łatwością mi przyszło nauczyć się waszój mowy.

— Musisz być uważanym za bardzo uczonego w swoim kraju, kiedy tyloma mówisz językami, — powie dalej brat Samuel Dovenport, tak bowiem zwał się nasz kwakier.

— Znam przytém jeszcze, i to wcale dobrze, język łaciński, rossyjski, polski i mowę, którą przemawiają Indyjanie w San-Domingo i w całych Antyllach, a jednak nie mam jeszcze prawa zwać się uczonym w kraju moim, bo tam podobnych lingwistów bardzo wiele.

Kwakier umilkł z zadziwienia, i z pewną nieufnością na mnie spoglądał; nareszcie rzekł:

— Czybyś mi nie chciał dać bracie dowodu twojej biegłości w językach? Czybyś mi nie chciał przetłumaczyć na wszystkie wymienione języki chociaż jednego wiersza Świętej Ewangelii naszój. Naprzykład, weźmy wiersz 27 Rozdziału XIV Ewangelii według Świętego Jana, zaczynający się od *pokój*...

— Doskonale znam wiersz ten, rzeknę przerywając kwakrowi, idzie on: „Pokój zostawuję wam, pokój on mój dawam wam; nie jako dawa świat, Ja wam go dawam; niechże się nie trwoży serce wasze, ani się lęka.“

— Znasz widzę Pismo święte bracie chrześcijaninie, — rzeknie do mnie kwakier, i mierząc oczyma killkunastu z moich ziomeków w elbika grających i niesłuchanie balasujących, doda: — Czy ta znajomość Pisma świętego jest u was tak upowszechnioną jak znajomość języków?

— Nie zupełnie tak, odpowiem jākając się cokolwiek, „ale zawsze bardzo, istotnie bardzo.“

— Ale ty przyjacielu, skąd tak znasz dobrze Słowo Boże, że nawet wiész, w którym miejscu szukać godła naszego stowarzyszenia przyjaciół pokoju?

— Uczyłem się Teologii przez lat pięć, miałem zostać pastorem....

— Miałeś zostać człowiekiem pokoju, a zostałeś człowiekiem wojny? miałeś wznosić, a burzysz? Czy się nie wstydzisz przyjacielu, i czy nie żałujesz grzechu swojego?

Stary kwakier przemawiał z taką ujmującą prostotą, z taką niewyszukaną otwartością, zarazem z tak dobrotliwym wyrazem w swój nadzwyczajnie miłej twarzy, że m się nie czułem obrażonym owym napominaniem siebie, owym wyrzucaniem mi błędów moich, do których w głębi serca już oddawna sam się przyznawałem.

Przetłómaczyłem mu na siedm języków wiersz podany mi z Pisma świętego.

— Ja nie umiem sądzić o dobroci tego tłómaczenia, — rzecze Samuel Dovenport, — bo jestem nie uczonym, ledwie po angielsku mówić umiejącym fabrykantem; ale poradzę się takich, którzy ocenić będą w stanie twe dzieło, i jeżeli jest dobrém, damy ci bardzo dobrze wynagrodzoną pracę. Tymczasem przyjmij te dwadzieścia funtów sterlingów, i rozdziel je pomiędzy najwięcej potrzebujących i najgodniejszych towarzyszy.

Samuel Dovenport wrócił dopiero we dwa tygodnie, i znowu mnie zastał przy wykładzie towarzyszom Pisma świętego, co mu zrobiło szczerą przyjemność, jak to wyczytałem na jego otwartej twarzy.

— Twoje dzieło zostało zbadaném przez biegłych i okazało się dobrém, — rzecze Samuel Dovenport podając mi zupełnie po przyjacielsku rękę.— Towarzystwo biblijne posyła ci tu przezemnie pracę; oto jest traktacik religijny o skutkach próżniactwa w więzieniu; jest to owoc badań mojej córki Elżbiety Fry, która poświęca się głównie poprawieniu stanu więzień i więźniów. Tę pracę masz przełożyć na tyle języków ile ich znasz. Jest to tylko arkusz druku, za przełożenie na każdy język wyznaczono ci funtów sterlingów *pięć*, i upoważniono mnie do udzielenia ci zadatku w kwocie funtów sterlingów *dziesięć*. Czy przyjmiesz przyjacielu? a teraz powiedz jak ci na imię, o twoje nazwisko nie dbam, bo zapewne tak brzmi dziwnie, że ani go spamiętać, ani wymówić nie można.“

Od tej chwili byłem w stanie zarabiać co dzień po dwa funty sterlingów, to jest po blisko

dziewięćdziesiąt złotych polskich; mogłem zatem potężnie wspierać moich współtowarzyszów niedoli, po większej części niezdolnych zarobić sobie czémśkolwiek bądź na kawałek chleba, zwyczajnie jak żołnierze wychowani tylko do użycia broni w pokoju i w wojnie.

Trwało to z jakie cztery miesiące, a potem w skutek pracy, niewygód, złego powietrza wyziewanego z samego pontonu i z błota na którym stał na kotwicy, zapadłem na szkorbut i już byłem bliski śmierci, gdy się mój przyjaciel Samuel Dovenport, bawiący wówczas w Edyμβurgu, dowiedział o stanie moim, i zjechał unyślnie do Bristolu dla podania mi ręki, i wydźwignięcia mnie z okropnego położenia.

Dzięki wstawieniu się całego zgromadzenia kwakrów u księcia regenta Anglii, uzyskano dla mnie, dotychczas nikomu niewyświadczoną łaskę, to jest puszczenie mnie na słowo honoru, i na gwarancyją sześciu zaręczycieli odpowiadających majątkiem i wolnością za mnie.

Samuel Dovenport przewiózł mnie do Edyμβurga, gdzie pomoc lekarska i starania prawdziwie serdecznych i roztropnych przyjaciół, poka-

zały się tak skutecznymi, że w bardzo krótkim czasie odzyskałem zdrowie, czyli raczej zyskałem je, bo dotychczas nigdy go nie posiadałem.

Nie byłem nigdy bez zatrudnienia, to na moje szczęście powiedzieć mogę, i dumnym się czułem z tego, że mogę stać się użytecznym pracą swoją.

A potem, przekonałem się od pewnego czasu, że nie burzeniem lecz tworzeniem, pracą, uczciwą robotą można służyć skutecznie takiej ludzkości, której służyć warto. A potem, polubiłem religiją i moralność, których Biblija jedyną jest podstawą; uwierzyłem w Pismo święte dosłownie.

Przyjaciele, to jest kwakrzy wychodzą z tej zasady, że każdy człowiek szczerze pragnący wejść w związek z Bogiem, może dopiąć łaski objawienia, do czego już w duszy ludzkiej rzucony jest zaród nie raz się ukazujący pomimo- wolnie prawie u każdego człowieka w jakichś szczęśnych wyjątkowych chwilach.

Kwakrzy, mój bracie, nie mają duchownych; schodzą się oni o pewnej godzinie dwa razy na tydzień do swoich kościołów, w których nie ma

ani ołtarza, ani kazalnicy, ani żadnych obrazów lub wyobrażeń. Całemi sprzętami takiej świątyni są lawki, na których *przyjaciele* siedzą w milczeniu z nakrytymi głowami, rozmyślając o religijnych przedmiotach, patrząc w górę w jedno miejsce, oczekując, dopóki Duch Święty jednego z ich grona nie natchnie. Kto w sobie obecność ducha poczuje, daje o tém znać głębokim westchnieniem, i powstawszy z miejsca, objawia słowami natchnione myśli.

Kobiety także bardzo często nawiedzane są natchnieniem przez Ducha Świętego, i nawet wzbijają się aż do prorokowania jak Miriam, Debora, Hulda i Anna w Starym Testamencie.

Jednej niedzieli, kiedym jeszcze nie był kwakrem, znajdowałem się jednakże po trzeci czy po czwarty raz na nabożeństwie *przyjaciół*. Wszyscy jak przyszliśmy do świątyni w milczeniu, jak siedliśmy w milczeniu z kapeluszami na głowie, tak téż pozostaliśmy w przenajświętszym milczeniu, odmawiając w duchu, bez książki, bez słów tylko uczuciem, modlitwę. Taką modlitwę my uważamy za dostateczną, nazywamy ją światłem duszy.

Pomimowolnie zatęskniłem do rodzinnego kraju, do prostego ale zawsze wymowniejszego obrządku wyznania mojego, przelewającego przynajmniej ogólnym śpiewem wtórowanym przez organy, uczucia swoje ku niebu.

Zatęskniłem do méj szlachetnej, pełnej poezyi i uczuć braterskich Litwy, i lzy puściły się rzesistemi strumieniami z oczu moich, dawno niezraszanych tym dobroczynnym balsamem boleści.

Łkania tłumione przezemnie wyrwać się zaczęły konwulsyjną siłą z piersi moich, skromny przybytek odbijał ich echo, i oczy *przyjaciół* pograżonych w religijném rozmyślanii, zwróciły się ku mnie z wyrazem szczerzego współczucia.

W tém ozwał się ciężki, głęboko z piersi wyrwany jęk: mniemałem, że ktoś ze zgromadzenia naszego omdlał. Wstaje jakaś jeszcze dość młoda, wysoka, jasnowłosa i modrooka kobiéta, i wszyscy się zrywają z ławek odkrywając głowę.

— Ojczyzna chrześcijanina tylko w niebie— zawołała owa kobiéta głosem jęklwym, i na ten

temat wytacza całe kazanie nie z zapałem, nie ze znajomością sztuki kaznodziejskiej lub krasomówstwa, lecz głosem przewlekłym, jękającym się, a jednak nie lękliwie i z tak przyjacielską słodyczą, z tak poczciwą wiarą w dobroć swych pięknych chrześcijańskich myśli, które czerpała w swęj duszy, oczy mając zwrócone ku niebu, że ani chwili nie wątpiłem, iż te proste nieudolne słowa malujące tak piękne myśli, były istotnie wynikiem wyższego natchnienia.

A to całe kazanie, które brzmieć będzie w mych uszach aż do ostatniej chwili życia mojego, to całe kazanie Wielki Boże! jak gdyby umyślnie do mnie było zwrócone, dla mnie powiedziane, spadło jak balsamiczna rosa na moje stęsknione, krzepnąć zaczynające i więdnące serce.

A to całe kazanie, które trwało więcej godziny, budziło duszy mojej zakłete siły i krzepiło moc ciała od tak dawna, od urodzenia schorzałego, nękanego, ranionego!

I z każdą chwilą uczuwałem w sobie większego ducha, większą wiarę w pomoc Boga,

w miłosierdzie wiecznej opieki czuwającej nad każdym stworzeniem.

Błoga ufność w lepszą przyszłość dla mnie i dla tego wszystkiego co szczerze kochałem ogarnia mnie, owładyna, unosi. Uwierzyłem, że człowiek przeżywszy najpiękniejsze lata życia płonnie, płocho, bez celu, może jedyną siłą postanowieniem z pomocą Boga wyrwać się z toru życia wadliwego, i rozpocząć żywot godniejszy swego przeznaczenia.

Ona skończyła, — usiadła jak automat, który przestał być ożywionym. Ona usiadła, i spoglądała w próżnię obliczem swym spokojnym, wyrazu łagodnego, miłego ale bynajmniej nie klasycznie pięknego.

A gdy skończyła, żaden się nie ozwał szmer zadowolenia lub potępienia, milczenie panowało; powiedziałbyś że wszyscy starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety jesteśmy uczniami Pitagorasa, odbywającymi pierwszą próbę milczenia.

Tak siedzieliśmy z pół godziny, pogrążeni w religijnych rozmyślaniach; zdawałoby się, że duch ziemi zawiesił w ciałach naszych działanie swoje, bo żadnego z żywotnych spraw do istno-

ści ziemskiej przykuty, nikt z nas nie dawał oznaki. Nikt z nas nosa nie otarł, nikt z nas nie zakaszał, nikt z nas może nie odetchnął.

Co mówię?... możemy wszyscy znajdowali się wówczas w owym stanie religijnego zachwycenia, w którym się nie czuje, nie dyszy, nie żyje, — lecz myśli, lecz kosztuje przedsmak nigdy nieustających roskoszy nieba.

I ja także siedziałem jak odrętwiały, nie przeczuwając co mnie spotka wkrótce, nic nie przeczuwając, że chwil tych odgłosy tętnić będą przez lat blisko czterdzieści, dźwiękami nieodznanego nigdy wprzód szczęścia.

Otóż, usiadłem razem z innemi, i milczałem.

Na raz, wrywa się z mych piersi głębokie westchnienie, wznosi mnie na nogi, i kładzie mi w usta, najpyszniejsze kazanie na temat: „Boże! podaj mi rękę, abym mógł chodzić po wzbudzonych falach oceanu, i nie lękał się głębi pod moimi stopami.“

Więc mówię, i sam sobą się zachwycam, bo nigdy w życiu moim tak jasno nie widziałem, i tak pięknych nie znajdowałem wysłowień na oddanie mej myśli. Więc mówię przez godzinę

i więcej, przedstawiam życie dobrego z serca, ale błędzącego słabego człowieka; pomimowolnie maluję sam siebie, chcąc nie chcąc spowiadam się z własnych grzechów, ale to ze szczególnymi, i z rzetelnością o jakiej trudno sobie zrobić wyobrażenie. Nic nie zataiłem, pobudzający jakąś niezwalczoną siłą do jakiejś dziwnej dobrodusznój szczerości, która nawet do tego stopnia doszła, że się przyznał do czynu w Anglii za bardzo wielką zbrodnię uważanego, mówię, do przywłaszczenia sobie samowolnie obcej indywidualności, czegom się jak wiadomo w Kamczatce dopuścił.

Mówiłem nadzwyczaj długo, około półtorej godziny, a potem usiadłem znów w milczeniu na ławce, nie wiedząc prawie com mówić.

Ale kwakrzy nie zapomnieli słów moich, uwierzyli w szczerość i rzetelność moją, i prosili mnie, abym się wyrzekł rzemiosła żołnierskiego, i został ich współbratem w Chrystusie.

A Miriam Adams, taż sama wdowa, która przemówiła o ojczyźnie chrześcijanina, ofiarowała mi rękę swoją jeżeli zostanę kwakrem.

Miała lat trzydzieści cztery, troje miłych dzie-

ci, bardzo znaczny majątek, zwłaszcza śliczną
papiernią nad cudnymi brzegami rzeki Klajdy;
była zaś okazale wysoka, i na świeżem licu swo-
jém ujmującej słodczy nosiła uroki. Ile zaś do-
broci znalazłeś w jéj sercu, tyle roztropności
w głowie.

Więc, wyznam, żem się niedługo wahał:
zjąłem kołpak i dolman, przywdziałem kape-
lusz z szerokimi skrzydłami i szaraczkowy frak.
A wąsy zgolilem; bo jeszcze nigdy nie widziano
kwakra z wąsami.

Ożeniłem się w roku 1814, mając wówczas
lat czterdzieści siedm; syna i dwie córki, dała
mi moja luba Miriam. Syn jest lekarzem mary-
narki królewskiej, i znajduje się obecnie w Indy-
jach Wschodnich, córki poszły za mąż i są ma-
tkami tuzina dzieci większych i mniejszych.

Moja Miriam umarła dopiero przed trzema
laty; przeżyliśmy z sobą lat trzydzieści pięć w ni-
gdy niezachmurzoném, skromném, pocziwém
szczęściu.

U nas wprawdzie nie ma owych uniesień,
które człowiekowi udzielają zabawy światowe,
zwłaszcza bale, koncerty, teatry, polowania

i inne; ale u nas nie ma także próżniaków, nudzących się życiem; u nas nigdy nie ma tych zmartwień, które wynikają z omylenia się w zacności bliźniego; u nas nie ma kłamstwa, zdrady i oszukaństwa.

My szczęścia nie pojmujemy bez pracy, bez świadczenia dobrze, bez zabiegów dobroczynnych.

Przez czas mojego pobytu w Szkocji, mianowicie pod Edyburgiem, gdzie leży moja posiadłość, prawie ciągle byłem w styczności z ziolkami. Od roku 1820 aż do roku 1829 bawił tutaj jeden z moich wujów, dość bogaty szlachcic litewski, który umierając w Edyburgu, ufundował w Uniwersytecie stypendium dla polaka uczyć się chcącego, zwłaszcza dla polaka protestanta.

Kilku polaków uczyło się bardzo pilnie we Wszechnicy edyburgskiej.

A potem, dwaj synowcowie moi, w których umiałem rozbudzić szczere zamilowanie do pracy i do nauki. Jeden z nich został bardzo przykładnym kwakrem, objął zarząd mojej papierni, i wkrótce się ożeni z córką mojej pasierbicy;

drugiemu polotniejszemu umysłem, ciasno tu było w Szkocyi, pomiędzy nudnemi kwakrami, poszedł szukać szczęścia do Ameryki, i jestem pewien, że się dorobić może wielkiego majątku, jeżeli mu Bóg życia uzyczy, bo jest bardzo świętym mechanikiem, a terazniejszego świata życiem głównie maszyny pędzą.

Więc kochany ziomku, zestarzałem się na obcej ziemi, i dziś mam lat dziewięćdziesiąt sześć, a zatem zapewne bardzo blisko ostatecznego kresu życia ludzkiego dopiąłem. Tak! już nie wiele mi się należy, zdaje się; a chociaż jeszcze tkwi jakaś siła w nogach moich, i w rękach, i w oczach, i w uszach, i Bóg łaskawy jakoś nie odebrał mózgowi pamięci a sercu ducha, żołądkowi zaś pozostawił dobry apetyt, a duszy chęć pozostania jeszcze cokolwiek dłużej wśród ukochanych mi osób, toć znowu z drugiej strony dziewięćdziesiąt i pięć lat nie fraszki, zwłaszcza dla człowieka co przez lat czterdzięści siedm ciągle był ranami częstowanym pod każdym klimatem i prawie w każdej kampanii.

— Wprawdzie historyja polska, angielska

i szkocka przytacza przykłady dziwnej daleko posuniętej długowieczności, ale przecież wszystkich znanych mi od młodości ludzi, znowu nie chciałbym przeżyć. Już i tak z tej przyczyny wiele zniosłem zmartwień. Wszyscy bracia moi byli o wiele mocniejsi ode mnie, żaden z nich nie służył w wojsku ani w górnictwie, ani też żadnemu innemu niebezpiecznemu lub mozolnemu nie oddawał się zawodowi, a jednakże *ja*, tyle razy ranny, zniósłszy tyle biędy, *ja* wszystkich swych braci, wszystkie siostry swoje przeżyć musiałem, i sam jeden z liczego rodzeństwa patrzę na tyle mogił.

— I przeżyłeś starsze i młodsze, i mocniejsze i słabsze pomimo ran i więzień?

— Przeżyłem, z liczego rodzeństwa pozostałem jedynym.

— Ach! zdawałoby się, że w tej Szkocyi leżą jakieś nieodgadnione zasoby długowieczności, które klimatem wcale usprawiedliwić się nie dają. Starcy stuletni jeszcze czynni i zdrowi są tutaj bardzo częstym zjawiskiem.

— Mówisz o zasobach długowieczności tkwiących w tym tu kraju? Klimat tutejszy nie

jest lepszym od litewskiego; owszem, może nawet gorszym, bo kraj ten prawie ciągle zalegają mgły budzące smętność w umyśle. Ale w tym kraju ludzie umieją żyć, umieją być starymi i umieją szanować starość, i głównie dla tego żyją tak długo. Tutaj w Szkocyi starcy nie są targani niewłaściwymi wiekowi swojemu namiętnościami, nie puszczać się na sprośność, na obżarstwo i pijaństwo. Rodziny i współobywatele czczą naszych starców, którzy jeszcze w bardzo podeszłym wieku dochowują umysł poetyczny, jędrne i litościwe serce, wesół humor i zastanawiającą pamięć. U nas starcy nie gorszą mową i czynem, lecz zagrzewają młodszych przykładem i radami do wytrwania w trudnej wędrówce życia.

— Och! tak mój dobry ziomku, rzecze nasz stary kwakier żegnając się ze mną, — tutaj w szczerze religijnej szlachetnej Szkocyi i starość nawet ma swoje uroki. Można nawet powiedzieć, że zdrowy, wygodnie żyć mogący i moralny człowiek żyć dopiero zaczyna w starości owém swobodném życiem, w którym odpo-

czynek jest dozwolonym, w którym rozrywki umysłowe największej nabierają wartości.

Ha! i w naszym kraju niegdyś czczono starców, nie stroniono od ich towarzystwa; to też warto było starzec się. Ale teraz?—podeszłych starców już może nie ma w naszym kraju, kiedy wszyscy świadkowie lat dziecinnych moich już wymarli, a tutaj jednakże, nawet w miastach fabrycznych niesprzyjających długowieczności, znajduję ludzi o kilkanaście lat odemnie starszych, a nawet w Londynie, w owym nowożytnym Babilonie znalazł się człowiek, który żył lat dwieście siedm, który się urodził, żył i umarł w parafii 3-go Leonarda; mówię o sławnym Tomaszu Caru.

— Niech mnie pan Bóg broni od tak długiego życia; nie chcę ani sam siebie, ani wszystkich swoich przyjaciół z dziecinnego wieku przeżyć.

— Najgorzej przeżyć samego siebie, ale to trudno w tym tu kraju, w którym wszystko jednostajnie naprzód postępuje, i dźwiga z sobą maruderów nie mogących o własnej sile wydołać biegowi postępu.

— Ha! to jeszcze może jest pociechą, że

człowiek szczerze i cnotliwie postępowy a nie-
pojmowany, szybko umiera w innych krajach, że
nie długo cierpi.

— Ale to bardzo smutna pociecha!

— Kiedy innéj tam nie ma mój staruszk.

ROZDZIAŁ II.

Samoludy.

W powrocie ze Szkocyi do Anglii zawadzilem o pograniczne miasto Carlisle, którego nazwisko budzi miłą pamiątkę w uszach historyka, tu bowiem nie raz ważyły się losy Piktów, Kaledonów, Duńczyków, Rzymian i Normanów, a starodawne pamiątki rozsiane w pobliskości, świadczą, że w tym kraju już były ogromne zamki w gruzach w chwili, gdy tutaj rzymskie orły zaczęły.

Chciałem zwiedzić wały Rzymskie i wały Piktów, chciałem drżyć na widok olbrzymich ołtarzy Druidowskich, chciałem płakać w zamku,

w którym więziono nieszczęsną królowę Maryją Stuart po jej ucieczce ze Szkocji.

Ale nic z tego na nieszczęście w tym dniu nie można było zrobić, bo źle obrachowawszy wprzód czas, stanąłem w Carlisle właśnie w chwili gdy się poczynała Niedziela; w Niedzielę zaś jako w dzień przeznaczony na chwale Boga, nie można oglądać pomników i zwalisk; w Niedzielę, trzeba koniecznie iść do kościoła, albo przynajmniej zatrudniać się czytaniem Pisma świętego.

— Nawet podróżować nie można w Niedzielę: poczta nie idzie; nawet telegrafy zatrzymują się o północy w Sobotę, i wiadomość będzie podaną dalej, dopiero w dwadzieścia cztery godzin; a w bardzo wielu dobrze myślących domach, tak jak naprzykład w naszym, nie rozpała się na kominie ogień, tak, że się zadawałoby trzeba zimnym mięsem i herbatką ugotowaną przy lampce spirytusowej.

To wszystko opowiedział mi Mister But, właściciel hotelu pod Gęsią i Capem, w którym stanąłem w Carlisle, najwięcej dla tego, że mi te godła przypominały odległy kraj północny, i mia-

sto, w którym wzniosł się pałac pod temiż samemi godłami.

— A więc objaw życia materialnego ustaje u was z poczęciem się Niedzieli. Powiedz mi panie But, czy przestają także cierpienia ciała, i czy w tym błogim dniu lekarz może wytchnąć, i wolny od wyrzutów sumienia, czy może spojczywać przez dzień cały na swych wawrzynach i funtach szterlingach zdobytych przez tydzień? Oh panie But, synu mężnej Kaledonii i właścicielu hotelu pod Gęsią i Capem, odpowiedz mi na te pytania, mnie lekarzowi polskiemu i zarazem zwolennikowi Walter-Skota, Burnsa i uczuciowej szkoły jezior.

Rozrzewnił się pan But, i rzekł:

— Nie! przyznam się że choroby nie ustają w Niedzielę, ani nawet żadne fizyczne bóleści. Bóg w swém nieskończoném miłosierdziu nie przestaje nawiedzać dzieci swoich chorobą, a to dla tego, iżby mógł wypróbować ich wiarę i odwagę. Chorzy i cierpiący nie śmia w tym świętym dniu odrywać lekarza od czytania Biblii, śpiewania mszy, słuchania kazań i odmawiania pacierzy; i żadenby téż z naszych leka-

rzy w Carlisle za żadne pieniądze nie ruszył się na wezwanie chorego, nawet doktor Diuwoł, który jest francuzem a nawet katolikiem.

— Francuz co się zowie tak grubo? *Diuwoł*? to być nie może, chyba że się pisze Duval, i wymawia po francusku ładnie i delikatnie Duval.

— Jak się tam ładnie i delikatnie po francusku wymawia tego nie wiem, i wiedzieć tego nie potrzebuję, bo nam własny język wystarcza, odpowie pan But; — ale to wiem, że się po kumberlandzku wymawia Diuwoł, i że się angielskimi bogaci funtami.

— Powiedz mi panie But, czy ten doktor Duval nie ma przypadkiem głębokiej szramy na głowie, przytém czy nie jest brunetem z niebieskimi oczyma, średniego wzrostu, więcej kępy jak wysmukły, lica rumianego, nadzwyczaj wesoly i lubiący zabawić towarzystwo figłami kuglarskimi z nadzwyczajną zręcznością wykonywanymi.

— Oto kubek w kubek ten sam, takeś go pan opisał jak naturalista węża lub krokodyła. Przytém dobry sobie człowiek, ale *katolik* i do

naszego kościoła nie chodzi, nawet w kaplicy katolickiej wzniesionej temu lat kilka przez katolicką Lady Hamilton nie często się jawi.

— A więc to ten sam; a więc to mój ziomek Kazimierz Duval, urodzony z matki szlachcianki polskiej a z ojca guwenera francuskiego. Powiedz mi panie But, gdzie mieszka doktor Duval?

— Na południowym końcu miasta, stąd o dwie mile angielskie, przy ulicy Lancaster pod numerem takim i takim.

— To za daleko na pieszy spacer; każ mi pan przywołać doróżkę.

— W Niedzielę nikt nie jeździ w naszym pobożnym mieście.

— Więc mi pan daj przewodnika żeby mnie zaprowadził.

— Nie można; w tych godzinach każdy powinien być w kościele lub nabożeństwem zajęty.

— A więc jakim się dostanę sposobem do mieszkania kolegi i ziomka mojego doktora Diuwoł?

— Ubierz się pan przyzwoicie w czarne su-

knie, weź książkę do nabożeństwa pod pachę, idź prosto tą ulicą ku południu, i wszystkich przechodniów pytaj o drogę do kościoła świętego Leonarda, gdzie za pół godziny kazać będzie wielbny Mac Maikel, kościoła anglikańskiego wierny boży sługa. Dwieście kroków od tego kościoła mieszka doktor Diuwol. Ale włosy pan uczesz na *be mol*, twarzy zaś swojej za nadto światowej nadaj wyraz skromny, pobożny i skruszony. Pobożni ludzie wskażą ci drogę z grzecznością. Good by'e.

Więc ubieram się w czarne barwy, włosy czeszę na *be mol*, układam fizyonomiją na ditto, biorę książkę do nabożeństwa ze złoconemi brzegami pod pachę, kapelusz wsadzam na tył, aby wyglądać gapowato, i ruszam ku południu.

Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu!

* * *

Jesteśmy w wzajemnych objęciach.

— Teodorze!

— Wojciechu!

— Jaki dziwny przypadek?...

— Jakie szczególne zrządzenie losu?...

— Buteleczkę Xeresu?...

— Nie! najprzód kieliszek narodowego Whisky, bo djable słotno na pogranczu Szkocyi i Anglii.

— Nie! napatrzeć ci się nie mogę, wskrzeszasz mi w pamięci tylu lat zapomniane już akorda!

— Połykam cię oczyma, jak tyś zmężniał i wypiękniał.

Uspakajamy się nareszcie.

— Zapoznaj mnie z domem twoim Wojciechu.

Przed domem ogródek kwiecisty. Za domem ogród warzywny, sad, stajnie i obory, na pierwszym piętrze pokoje mojej żony, dzieciarnia i salon; tutaj moja sypialnia, parlour, gabinet doktora, jego muzeum i laboratoryjum chemiczne; na dole w suterrenach kuchnia, spiżarnia, izby dla czeladzi i piwnica; oto i wszystko, zwyczajnie jak w domu angielskim.

— A więc jesteś żonatym i ojcem.

— Albożbym tu zostawał gdybym nie miał żony, trojga dzieci, majątku i doskonałej praktyki?

Przedstawię ci żonę skoro wróci z kościoła. Dzisiaj Reverend Dundonnald, nasz kuzyn, ma kazanie w kościele prezbyteryjańskim Wszystkich Świętych, stąd o trzy mile; pojechała tam, ale mamy dużo czasu wolnego, możemy się wygadać z sobą, opowiedz jak i co, skąd i dokąd?

— Mówiłeś o muzeum, pokaż mi je przedewszystkiém; wiész ile się kochałem w płodach natury, i pozostałem wiernym dawnemu ulubieniu.

Idziemy do muzeum doktora Duval.

To co w Anglii i w Szkocji chodzi na nogach, to co lata na skrzydłach, to co pelza, czołga się i wlecze, to co pływa w słodkich i słonych wodach wielkiej wyspy, to co rośnie na ziemi, i co nie rośnie a we wnętrzu ziemi zawarte, wszystko to znalazłem w podręcznym muzeum ziomka mojego ustawione w tak pięknym i zarazem uczonym porządku żem zdumiał i przejęty uszanowaniem, skłonił się przed kolegą swoim o rok tylko odemnie starszym.

— Nie mnie się należy zasługa tego zbioru, mój Teodorze, rzecz z nieudaną skromnością

Wojciech Duval, — lecz teściowi mojemu, który przez lat trzydzieści uprawiał medycynę w tém miejscu, i ojcu jego dawnemu marynarzowi królewskiej floty, niezmordowanemu naturaliście, tę zasługę przede wszystkim posiadającemu, że w jedynym synu swoim wzbudził zamiłowanie do nauk przyrodzonych, i że go wykierował na dzielnego lekarza.

— Teraz pojmuję mój Wojciechu, ależ na miłość Pana Boga i wicehrabiego Buffona, cóż znaczy ten zielony kot, który tutaj pomiędzy ryśiami i żbikami figuruje pod szklannym dzwonem wielkiej wartości i objętości. Zdawałoby się, że to kot angora taki ma wzrost duży, sierć bogatą i długą, ale barwę zieloną? tylko ptakom, roślinom, owadom i szmaragdom łaskawa natura kolor nadziei udzielić raczyła, a tu widzę *kota*, zwierzę drapieżne i podstępne, ubrane w barwę życiodawczego przymiotu, który z puszek nieostrożnej pandory uciec nie zdołał, i nam pozostał biędnym ludziom, cieszącym się nią częstokroć aż do ostatniej chwili życia. Ach nadziejo! jedyne szczęście głupich ludzi! Zielony kocie czy ty barwą swoją śmiesz uragać się z nas?

— To farbowany kot mój kolego, nie entuzjazmuj się po próżnicy, rzecze sucho Wojciech.

— Farbowany kot? i tutaj w tym świętym przybytku natury i prawdy taki szalbierz znalazł miejsce? i to jeszcze honorowe pod osobnym dzwonem, który cię kosztować musiał z jakie dziewięć funtów sterlingów jeżeli nie więcej.

— Ten zielony kot jest twórcą mojego szczęścia; żeby nie ten kot, tobym zapewne pozostał tak ubogim jak byłem od urodzenia swojego. Pamiętasz mojego ojca? był guwernerem, potem ożeniwszy się z kobietą wysokiego rodu a bardzo szczupłego majątku, wziął dzierżawę, bo się dostojna szlachcianka wstydziła być żoną człowieka zdobywającego sobie chleb codzienny belferostwem i bakalarką. I wiesz do czego doszliśmy. Mama jeździła koczem do kościoła i do sąsiedztwa, nie opuszczała żadnego balu i wyświadczała się stypami nieskończenie wyższymi nad stan i majątek, a mój biedny ojciec jeździł ze zbożem i z kartoflami na wozie drabiastym do miasta, aby sprzedać ziemiopłody. Ja zaś mając zaledwie lat dwanaście, musiałem być kore-

petytorem piętnastoletnich tępych jak cepy drabów dla wylamania im języka do francuzczyzny, którą mi ojciec wykladał w sposób doboszowski nieraz pięściami, a nawet w razie koniecznej potrzeby, pałeczką. Bięda u nas była, bięda okropna. Szachrajom, którym się udawało, wybaczano, nawet ich ofiary im wybaczały w nadziei, że takich wybrańców losu czasem jakieś pijackie, przechodnie usposobienie natchnie do wyświadczenia *jakiegoś dobrodziejstwa* swój dawniej ofierze; ale człowiek pracowity, chcący zdobyć poczciwym mozolem jakiś kawałek zasłużonego chleba! Panie Boże! takich po prostu uważano za niedołęgów, za ludzi odartych z genialności, z owej prawdziwej zdolności co zniewala los do służenia człowiekowi. Więc Teodorze! wiesz że w okrutnej biędzie wychowywany byłem w szkole, do której uczęszczaliśmy razem, i przypominasz sobie ile musiałem znieść upokorzeń za *to*, że ojca mojego podczas jarmarku w Kaliszu widziano sprzedającego na wozie owoc ziemi wyciśnięty twardym znojem. Szydzono ze mnie, z eleganckiego francuzika, syna takiego gbura, który nauczywszy się mówić po polsku,

nie mógł zapomnieć swego francuskiego wykrzyknika: fichtre! bougre!

Potém, rzucony w odległą stronę, zawitałem do kraju przodków moich, i wziętem się natychmiast, korzystając z danych nam ułatwień, do nauki medycyny. Nie długo trwały te ułatwienia, dowiedziano się nie wiem jak, że jestem synem syna właśnie téj ziemi, na którą rzucony zostałem, i powiedziano mi, że syn francuza nie ma prawa do dobrodziejstw i jałmużn udzielanych tylko cudzoziemcom. Trzy lata strawiłem jednakże na uniwersytecie paryskim, i doskonale przypilnowałem nauk, zwłaszcza anatomii. Potém jednakże wyrzuty z owych ułatwień, opuściłem kraj przodków moich, i w zimnej Szkocyi, dokąd mnie zwabili inni koledzy, szukałem przytułku i współczucia. Znalazłem jedno i drugie, dzięki dawnym stosunkom z niektórymi wysoko stojącymi ziomkami. Dzięki różnorodnym wsparciom i lekeyjom anatomii prywatnie udzielanym, mogłem kończyć swoje lekarskie nauki; a w roku 1836 zostałem doktorem medycyny Wszechnicy Edyńburskiéj, i znów nie wiedziałem co mam z sobą czynić, bom jako doktor

medycyny, gdy nastaly wakacje i uczniowie się rozjechali, znalazł się biedniejszym jak kiedykolwiek, prawie zupełnie ogołocnym ze środków istnienia.

Przyjęto mnie jednakże za człowieka *bezpłatnego*, klubu Eskulapa, tak świetnego w Edyμβurgu jak może nigdzie w świecie; bowiem jeden z wielkich lekarzy tego miasta umierając bezdzietnie, zostawił prawie cały swój majątek na założenie tego klubu, na utrzymywanie w nim sześciu edyμβurskich doktorów pokarmem duszy i ciała przez rok jeden. Wybrano mnie na jednego z tych sześciu, i korzystałem z biblijoteki, z czytelni, ze śniadania, z obiadów i kolacyj, z nadzwyczajną gorliwością wywdzięczając się szanownemu towarzystwu co dwa tygodnie odczytaniem jakiej rozprawki medycznej, lub zostając w związku mniej więcej bezpośrednio z nauką medycyny.

Jakiś ze starszych członków medycznego klubu upodobał mnie sobie, i często mnie rozpytywał o to i owo dotyczące się nowych dzieł medycznych w różnych językach pisanych, a które wszystkie posiadaliśmy w klubie naszym.

Już wówczas nie źle mówiłem po angielsku, i trawiąc czas najwięcej na czytaniu, byłem w stanie zdawać sprawę ze wszystkich nowości lekarskich, wyrastających szybko jak grzyby z różnych punktów Europy i Ameryki wśród ludzi szczerze się starających o postęp.

Stary lekarz, który nawet nie był doktorem medycyny, tylko prostym *Physician*, to jest medykiem nie na łacinie uczonym....

— Aleś mi miał mówić o zielonym kocie, odbiegasz kwestyi, potem będziemy mówili o starym lekarzu,.... zarzucę koledze Wojciechowi.

— Ach prawda! odpowie doktor Duval, — więc zaczynajmy mówić o zielonym kocie, czyli raczej mówmy dalej o starym fizyku, bo on dał powód do wynalezienia kota zielonego, bez którego nie posiadałbym ani domu, ani żony, dzieci, praktyki i dwóch włók pola, wydającego mi corocznie z trzysta funtów czystej intraty.

Przez kilka tygodni czy przez miesiąc badał mnie o to i owo ten niedoktoryzowany ale doświadczony i wielkiego szacunku godny kolega. Ja sam bardzo go polubiłem za jego widoczną przychylność względem mnie, i za szczerę zami-

łowanie do nauk, tlejące jeszcze żywym płomieniem w tym wysłużonym synie Eskulapa, często z nim przegadałem po parę godzin, przechadzając się po ogrodzie botanicznym, lub też po cudnych okolicach Edyμβurga.

Z postępowania jego odgadywałem, że mnie nie bez przyczyny tak bada i egzaminuje, i że zapewne jakiś mi przedstawi interes lub jakąś mi zrobi propozycją.

Nie myliłem się bynajmniej; jednego bowiem razu zaprosił mnie do siebie na herbatę, i wszczął rozmowę o hallucynacjach, (a) o samoludach, to jest o stanie chorobliwym, w którym człowiek widzi lub słyszy, lub czuje, lub smakuje, lub wącha przedmioty wcale nie istniejące, to jest o stanie chorobliwym, w którym człowiek odbiera sensacje zewnętrzne bez fizycznych wrażeń.

Temat ten nadzwyczajnie zajmował mego szanownego kolegę, wypytywał się z nietajoną

(a) *Hallucinare*, mylić się. Wyrazu polskiego na *hallucinatio* nie mamy. Wyraz przezemnie ukuty *samoluda* zdaje się odpowiadać doskonale przyrodzie rzeczy, i warto go przyjąć aż ktoś wymyśli lepszy. P. A.

skwapliwością drząc prawie ze wzruszenia, czym już kiedykolwiek miał sposobność leczyć lub przynajmniej widzieć osobę, której umysł pozostał pod zaklęciem hallucynacyi, to jest samoludy.

— Nie tylko jedną osobę hallucynacyjami dręczoną widziałem, lecz może ze trzydzieści— odpowiedziałem panu Modestly.

— A gdzież je widziałeś doktorze?

— Na świecie, ale największą ich liczbę spotkałem w szpitalach obłąkanych, zwłaszcza w Salpêtriêre, w Bicêtre i w Charenton.

Pan Modestly zbladł, i z zafrasowaną miną spytał:

— Więc myślisz doktorze, że hallucynacje koniecznie prowadzą do obłąkania?

— Nie koniecznie, niechże Pan Bóg broni. Są przywidzenia i hallucynacje i samoludy, z których doskonale wyleczyć można. I tak na przykład, wyleczyłem urzędnika sądowego, zresztą człowieka bardzo uczciwego i pełnego zdolności, który przez ciąg dwóch lat mniemał, że jego żołądek jest ze szkła, że jest po prostu gąsiorem próżnym ciągle wołającym: „wlewaj

we mnie wino, napelnij mnie bo mi sucho, bo pękne, bo się rozsądę, natura nie cierpi próżni, ola Boga!“ A jak chronił swój żołądek przed wszystkimi kolo niego przechodzącymi? Odganiał ich, ręką zasłaniał żołądek już prócz tego blachą obwarowany, z bojaźni żeby mu go nie stłukli. W tym razie samoluda była podwójną przez czucie i przez słuch; a jednak lubo od dwóch lat trwała, nie ośwładnęła umysłu ani szaleństwem, ani niedoleżnością, i ustąpiła po użyciu moich środków.

— A jak przeprowadziłeś tę kurację doktorze? zapyta z natężoną ciekawością kolega Modestly.

— Użyłem go z mańki; zaprzyjaźniłem się z nim, i udając że wchodzę w jego położenie, że wierzę w żołądek szklanny, wywiozłem go podczas wakacyj w ustronie Francyi, gdzie tylko ze mną i z ludźmi przezemnie podnówionymi mógł pozostawać. Tam go poiiliśmy winem i wódką zaprawioną małutkimi dozami doskonałej emetyny, i do tego stopnia obrzydiliśmy mu wszelki trunek, że się pacjent wyrzekł wszelkiego innego napoju oprócz wody, wkrótce wró-

cił do zdrowia, i teraz się śmieje ze swego dziwnego przywidzenia. Wprzód dawano mu narkotyki, antispazmotyki, derywancye i rewulsywa bez żadnego skutku.

— A zatem monomanija pijacka spowodowała całą chorobę, rzecze pan Modestly.

— Nic innego; trzeba było dojść do gruntu rzeczy, i uderzyć gwóźdź w sam łeb.

— Jednak widać, że pomimo zdolności jakie mu przyznajesz, słabą musiał mieć głowę twój pacjent; ludzie z tęgim umysłem nie podlegają zdaje mi się hallucynacyjom.

— Mylisz się mój szanowny kolego. Świętyny Pascal widział ciągle przepaści przed swemi stopami. Sławny Cardan wszędzie się czuł otoczonym wonią niebieskiego kadzidła, i oszalał w skutek mocy odurzających, a przecież zupełnie urojonych kadzideł. Wielki wieszcz Torquato Tasso słyszał bezprzestannie grobowe dzwony, i codziennie przez godzin kilka rozmawiał ze swym genjuszem opiekuńczym (a), którego wcale nie było. Pułkownik Rastanier, dziel-

(a) Théorie des songes par l' Abbé Richard.

ny weteran armii cesarstwa, ciężko ranny pod Mont-Mirail, żył jeszcze lat ośmnaście potem, a mniemał że jest umarłym. Gdy go się pytano o zdrowie, odpowiadał: „Stary pułkownik Rastanier już nie żyje, kula go zabiła pod Mont-Mirail. To co widzicie, to nie on, to fantom na jego podobieństwo zrobiony, i to bardzo lichy fantom.“ Nigdy, mówiąc o sobie samym nie powiedział *ja* tylko *to*. Ciało tego człowieka nie miało żadnego czucia, można go było szczypać, żgać i krajać nie sprawiając mu żadnej boleści. Na tém skończył, że w najzupelniejszą wpadł niedołężność umysłową. Inny jeszcze weteran żyjący w Salpêtrière ciągle czuje, że mu pod koszulą biegają roje myszy, których złapać nie może. Inny znów bardzo światły i dobrze wychowany ksiądz, ciągle słyszy jak go przezywają ludzie, jak mu grożą, że go za drzwi wypchną i pobiją. Żadne perswazyje temu biédnemu, z naukami przyrodzonymi obznajmionemu księdzu nie pomogły; na wszystkie argumenta odpowiadał: „Więc panowie, musiałbym także wątpić, że was widzę i słyszę.“ Inni jeszcze, z urodzenia głuchoniemi, słyszeli podczas zachwycenia

dziwne krzyki, hałasy, a nawet *wiersze*, które z największą biegłością spisywali, wiersze tak dobre jakich nigdy nie byli w stanie napisać w zwyczajnym *zdrowym* stanie umysłu. Niestety, że wszystkie hallucynacje wiodą do szpitala obłąkanych; niestety, że bardzo trudno z nich wyleczyć.

Zastanowiło mnie, że pan Modestly bardzo głęboko i boleśnie westchnął na to zakończenie, i natychmiast spytałem, że i on zapewne musiał mieć w kuracyi swojej osoby chorujące na samoludy.

— Tak jest istotnie, nie raz zdarzyło mi się widzieć i leczyć osoby trapiące hallucynacjami; wszakże są to mieszkańcy w bliskości Szkocyi, gdzie pomimo wysokiego rozwoju umysłowego trwa do dziś dnia i to w najlepsze, wiara w jasnowidzenie, w prorocтва, w duchy opiekuńcze i szkodliwe, jak w białe damy i w czarnych rycerzy. Owo poetyczne usposobienie Szkotów oparło się wpływowi wyznania Presbiteryańskiego na pozór tak zimnego, i nie dało się wykorzenić przez filozofiją Reida, już bardzo upowszechnioną w Szkocyi, a nieprzyjazną wszel-

kięj wierze w nadprzyrodzone rzeczy. Ale że poetyczni, milczący i częstokroć przez kilka miesięcy w górach swoich w zupełnej samotności żyjący Szkoci, wpadają w wizyjonarstwo, temu się dziwić nie mogę; to mnie tylko zdumiewa, że ludzie pod wszystkimi względami silni i trzeźwi rozumem, wpadają czasami w owe dziwnie chorobliwe usposobienie, w którym się widzi lub słyszy, czuje, wacha i smakuje rzeczy wcale nieistniejące. Znam trzy wypadki hallucynacyi wzroku, należące do tego rzędu, trzy przypadki samolud oka, które napadły osoby świetniejące intelligencyją i roztropnością. Niestety! ja nie byłem tyle szczęśliwym w kuracyi, ile ty mój młody doktorze i przyjacielu!

Coraz bardziej smutniał pan Modestly, a ja jakimś dziwnie jasnem przecuciem ożywiony, coraz bardziej nań naglilem, aby mi opowiedział historiją choroby tych trzech pacjentów.

— Opowiem, chętnie naruszę dwie dawno zgojone rany i jedną jeszcze się jątrzącą, bo w tém mam po prostu powiedziawszy ważny interes. Pierwszym samoludą którego znalazłem, był mój professor chemii, uczony pan Graham,

ozdoba fakultetu medycznego w Glasgowie. Mąż ten głębokiej nauki i genialnych pomysłów, oddany był całkiem nauce do tego stopnia, że cały swój czas przepędzał dosłownie albo na katedrze albo na posiedzeniach naukowych, albo też w swém laboratoryjum, urządzone w wielkiej sklepionej izbie, do której światło dnia prawie nigdy nie wchodziło. Tutaj, w tym dawnym przybytku sławnego alchemisty margrabiego Shrewsbury, w Bogu spoczywającego od lat czterechset, uczony Graham urządził swe laboratoryjum, i tutaj korzystając z piecyków, przemiósł swoje retorty, kolby, rury, tygły, wanienki, gazometry, kondensatory, maszyny elektryczne i wszystkie przed laty czterdziestu w kuchni chemicznej używane maszyny, naczynia i sprzęty. Z trudnym do uwierzenia zapamiętaniem oddawał się nasz professor chemii doświadczalnej, nie jednym też wynalazkiem zubożając naukę wyrostać zaczynającą z kolebki, dzięki odkryciom wielkiego i nieodżałowanej pamięci Lavoisiera.

Spostrzeżliśmy, że od pewnego czasu professor Graham do tego stopnia oddawał się eksperymentacyjom chemicznym w swém labo-

ratoryjum, że nawet podupadł na zdrowiu i zaniedbywać zaczął swe wykłady, egzaminacje uczniów i posiedzenia naukowe. Widziano go zawsze rozlagnionym, głęboko zamyślonym, żółkłym, schudłym, i nie raz słyszano go przemawiającego do siebie samego, wyrzekającego na jakiegoś szatana który mu zazdrościł sławy, potęgi i majątku. Nie raz pan Graham zupełnie niespodzianie wykrzykiwał: „Oh przekłety Shrewsbury! nie przeszkadzaj mi zazdrośniku!”

Zaczęliśmy się obawiać o zdrowie, nawet o rozum naszego uczonego, niedawno tak łagodnego profesora.

Jeszcze inna okoliczność budziła naszą uwagę: professor Graham dotychczas cokolwiek woluomyślny, zaczął w Niedziele bardzo pilnie uczęszczać do kościoła i tam się spotykał zawsze ze mną, religijnie wychowanym młodzieńcem, i uchodzącym za jednego z pilniejszych i zdolniejszych uczniów. Kończyłem wówczas wydział lekarski i miałem uzyskać stopień licencjata medycyny, najwyższy który można było uzyskać bez poprzednich nauk klasycznych, odbytych w fakultecie filozoficznym.

Więc razu pewnego wychodząc z kościoła, zaczepiony byłem przez pana Graham, i zapytany czy mu nie chcę pomagać w jego laboratorium przy dokonaniu nowego odkrycia, które świat cały zadziwi, i Szkocją postawi w rządzie pierwszych mocarstw świata.

Z największą ochotą przystałem na to, lubo już wtenczas przeniknęła mnie obawa, czy nasz professor z chemii nie wpadł przez jakieś zbląkanie umysłu w alchemiją.

Kazał mi przyjść do siebie nazajutrz wieczorem i zapowiedział, że całą noc musimy przepędzić w laboratorium. Ale przedewszystkiem prosił o słowo, że wszystko co zobaczę zatrzymam w sekrecie.

Przystałem na wszystko, i na trzy rygle zamknęliśmy się nazajutrz z professorem moim, w owém sławném laboratorium, do którego po raz pierwszy wstęp uzyskałem.

— Nie o fraszkę tu idzie, rzecz do mnie z tajemniczością professor, — i nikomu innemu tajemnicy téj nie powierzyłbym jak tobie; ale ty jesteś szczerze religijnym człowiekiem, nie zdra-

dzisz mnie, pomożesz mi w pracy, i jeszcze urokiem przywiązany do szczerzej, prawdziwej bogobojności, odganiać będziesz odemnie owego szatana, co mi ciągle szkodzi w mych pracach. Więc słuchaj kochany mój uczniu, dociekłem ważnej tajemnicy, oto przekonałem się, że z naszej prostej ordynarnej gliny można wyciągnąć *srebro*, tak, *srebro* nie inaczej, metal biały, trwały, piękny, użyteczny i kosztowny jak *srebro* (a).

— Teraz byłem pewien że mój świątły profesor wpadł w monomanię alchemiczną i szczerze się zmartwiłem; ale darmo; zobowiązawszy się pomagać mu, zostałem i zaprząłem się do czuwania nad kilkoma piecykami i retortami, w których się tepiły i destylowały różne preparaty.

Przekonałem się jednakże wkrótce o możliwości wydostania jakowegoś metalu z prostej gliny, i zadziwienie moje wzrastać zaczęło coraz z szacunkiem dla genialnego profesora, który wpadł pracą swoją na trop tak wielkiego

(a) Wiadomo, że z gliny zwłaszcza z feldszpatu, Wöhler wydzielił przed kilku laty metal nazwany *glin*, bardzo podobny do srebra, tylko daleko lżejszy.

odkrycia. Pracujemy w milczeniu i notujemy nasze spostrzeżenia.

Naraz zrywa się pan Graham, patrzy przed siebie oczyma, w których się malowała najokropniejsza trwoga i szalona złość, i krzyczy: „ha! przyszedłeś jednakże przekłety upiorze? nie bałeś się tego bogobojunego człowieka i przybyłeś straszyć mnie i przeszkadzać mi, i wyrwać mi moje zwycięstwo? Idź precz upiorze, wzywam cię na Boga!”

Przybiegam do profesora. Zimny pot wystąpił mu na twarz, konwulsyjnymi drganiem targaną, puls ledwo się domacać, oczy w słup skierowane w jedną stronę.

— Nie widzisz go, nie widzisz? — krzyknie Graham. — Stoi tak jak go wymalowali tam na górze w sesyjonalnej sali z beretem doktorskim otoczonym margrabiowską koroną na głowie; w purpurowej todze gronostajami oblamowanej, i z retortą w rękę. Ha! margrabio Shrewsbury, w imię Boga znikaj, nie przychodź więcej i nie zazdrość mi tego odkrycia.

— Gdzie stoi? gdzie?—pytam profesora.

— Tutaj o pięć kroków przedemną, tu prosto przedemną.

Idę naprzód w tym kierunku, chcąc przekonać wizyjonyjusza, że nic nie ma przed nim.

— Ha! przeszedłeś go wskrós tak jak cień, ale on stoi,... teraz za tobą stoi,... teraz przedemną. Wracaj w tym samym kierunku,... znów go przeszedłeś wskrós, ale on stoi i grozi mi palcem z zagniewaną bladą twarzą.

— Niech pan rusza na niego, zawolałem na profesora.

— Boję się.

— Podam panu rękę, razem z panem pójdę.

Zdobyl się Graham na odwagę, idziemy naprzód ku mniemanemu upiorowi.

— Ha! w miarę jak postępuję naprzód, upiór usuwa się w tył, i pozostaje zawsze w tym samym dystansie odemnie,—rzeczce Graham.

— Więc dotrzyjmy aż do muru.

— Upiór wsiąkł w ścianę.

— Obróćmy się teraz.

— Ha! znów upiór przedemną na pięć kroków.

— Dobrze więc, ja się postawię na jego

miejscu, pięć kroków przed panem, gdzie teraz upiór?

— Stoi na twojej głowie i jeszcze straszniej wygląda.

Z dobry kwadrans strawilem w eksperymencjach z tém widmem schorzałej wyobraźni, ale wszystko daremnie, przekonać mego profesora nie zdołałem, owszem, przecząc mu, do największej przywiodłem go złości.

Aż nareszcie pękać zaczęły niestrzeżone tygłe, kolby i retorty.

— Otóż, jak od dwóch miesięcy w niwecz się obraca praca moja!— krzyknie biedny chemik,— otóż to skutki zazdrości tego szatańskiego margrabiego, który przez lat czterdzieści smażąc w tém laboratoryjum nic nie odkrył, a teraz mi zazdrości sławy. Pójdź precz przeklęty margrabio Shrewsbury! idź do czarta!

— Nareszcie widząc że nic nie pomaga, nakłoniłem profesora mego do napicia się narodowego Whisky, którego jako przezorny medyk, przyniosłem z sobą butelkę.

Pan Graham nigdy w życiu nie pił wódki, i ta, tak dobrze skutkowała, że widmo znikło i pro-

fessor w swym fotelu usnął. Odtąd miał lekarstwo, do którego się za nadto często uciekał, gdy mu widmo przed oczyma stanęło. Nareszcie, w skutek wzruszeń alkoholizacyi zapadł na zapalenie mózgu, i gdy się po bardzo długiej chorobie z niego wyleczył, wpadł w melancholiję, musiał wziąć urlop i wyjechać do wód mineralnych na ład stały. Dopiero po roku wrócił do Glasgowa, gdy mnie już nie było; ale zaniechać musiał już prac swoich w laboratoryjum, wykladał swój kurs z daleko mniejszą gorliwością i zdatnością, nareszcie wpadł w monomanię religijną fanatycznej przyrody, i dostał obłąkania. Dość, że nasz świętny Graham, chluba Glasgowa, umarł w trzydziestym ósmym roku życia w domu waryjatów.

Oto pierwszy przezemnie spostrzeżony przypadek hallucynacyi; ale drugi przezemnie spostrzeżony i leczony, jeszcze mnie bliżej dotknął.

Ksiądz Doudonnald, pleban naszej gminy prezbiteryjańskiej, wychowany bardzo starannie w Aberdeen, był człowiekiem uczonym, dobrym i cnotliwym, wielkim rozumem obdarzonym, ale najzupełniej wyzutym, jak to sam przyznawał

z wszelkiej lotności wyobraźni. Szczytne obowiązki pasterza sprawował nie tylko z gorliwością, lecz nawet z owém ulubieniem człowieka zrodzonego do stanu duchownego, nie pojmującego nawet żeby mógł być czemsiś inném jak sługą ołtarza, katechetą młodzieży, sędzią polubownym i ostatnim przyjacielem każdego cierpiącego i umierającego.

Czcili go wszyscy parafianie; nie ożenił się, bo sprawując gorliwie, sumiennie obowiązki stanu swojego, nie miał nawet czasu myśleć o kobiecie, o domu, o wygodach i o doczesnościach własnego życia. Zdrowiem się cieszył wyborném, i codziennie kilkanaście mil angielskich przebiegał piechotą, odwiedzając chorych, cierpiących i nauki potrzebujących gminy swojej. Tak dożył do pięćdziesiątego roku życia swojego w pracy i w poświęceniu, i pewno nie myślał żeby coś nadzwyczajnego mogło go zaskoczyć, ani my téż, zwolennicy jego wyznania, tego nie przewidywaliśmy. A najmniej *ja*, jego poradca lekarski i szwagier, siostra bowiem jego była żoną moją.

Tym czasem Opatrzność chciała inaczej.

Jednego pięknego wieczora, przy świetle księżycy, ksiądz Doudonnald wracał piechotą od kolegi mieszkającego o kilka mil, z Carlisle, i słyszał lub téż mniemał, że słyszy jak za nim biegł pies, krok w krok za nim, i jak czekał. Oglądał się za sobą, i nic nie widząc, szedł dalej najspokojniej w świecie. Jeszcze raz ozwało się szczekanie psa, mój ksiądz ogląda się i nic nie widzi. Kilka razy manito go i prześladowało owo szczekanie psa tuż obok niego, coraz bliżej; aż nareszcie biedny pastor westchnąwszy szczerze i głęboko do Boga, i nic nie widząc, zawiązał uszy chustką i biegł naprzód potężnym krokiem.

Nie długo tak pędził naprzód, bo jawi się około niego ogromny jak cielę brytan, niebieskiej barwy, z oczyma jak główne wytrzeszczonemi na twarz jego, i z ogromnym pyskiem ciągle zajadle szczekającym.

Bierze mój szwagier podróżny swój mocny kij w obie ręce, i nim uderza w owego psa, raz, drugi, trzeci i dziesiąty. Ale razy padają jak w powietrze, pies zaś ciągle w miejscu, coraz zdaje się większy, więcéj niebieski i z wście-

klejszemi oczyma. Więcej pięćdziesiąt razy, niebieski pies został tym sposobem na dwoje rozcięty, nic nie pomogło, pies stoi w miejscu, a ręce już bołą.

— A więc to jest złudzenie optyczne, nic innego, — rzecze do siebie ksiądz Doudonnald, i w tej chwili usłyszał loskot delizansu dążącego do niedalekiego Carlisle. Zatrzymuje delizans, znajduje jeszcze jedno wolne miejsce, siada pomiędzy pięcioma nieznanymi mu osobami, zamyka oczy i chce spać.

Ale spać nie może, tylko otworzywszy po kilku minutach oczy, widzi niebieskiego psa leżącego na jego nogach i grzejącego je swém ciepłem.

— Czy mój pies panom nie zawadza? — zapyta się proboszcz swych współtowarzyszy, z ciekawości czy ta przeklęta sobaka jest widzialną dla drugich.

— Pies? jaki pies? żadnego psa tu nie ma, chyba się panu śni? — odpowiadają razem i kolejno wszyscy podróżni.

— Ach! tak, a tak, istotnie, śniło mi się o psie, wybaczcie mi państwo, — odpowie pastor

głosem jakimś dziwnie przestraszonym, i wszyscy podróżni nuż w śmiech i gadać sobie:

— Ha! ha! otóż skutki dobrej kolacyi i tego whisky, to nie więcej jak psia zimora w wódce czerpana.

Zgryzł kwaśne jabłko biedny pastor, związał sobie oczy i uszy dwiema chustkami, żeby ani widział, ani słyszał; a jak wrócił do domu zmówił pacierz, położył się spać i — uczuł na nogach ciepły ciężar, a jak nogami ruszył, pies zawarczał. Zrywa się z łóżka, biegnie do okna, otwiera je, niebieski pies tuż obok niego, wspiera się przednimi łapami o futrynę okna i liże księdza po twarzy. Biedny ksiądz wraca do łóżka, nurza się pod kołdrą, dreszczów dostaje i usypia ze strachu.

Nazajutrz, już nic nie widzi i zdaje mu się, że istotnie za nadto pił herbaty z rumem u kolegi swego, i że go nagabywały jakieś zmory rozmarzonej fantazyi. Wieczorem jawi się niebieski pies. Wówczas przybiegł do mnie zasięgać rady, pies za nim. Patrzę pacjentowi w oczy, może jakaś chorobliwa zmiana w systemacie optycznym. Nic a nic, a pies ciągle stoi przed

nim i wyperswadować nie mogę szwagrowi, że żadnego psa nie ma. Zapisałem na womity, nic nie pomogło ani to, ani żadne inne lekarstwo. Jedzie do Londynu. Lekarze posyłają go do wód morskich i w cieplejsze kraje. Pacjent wyleczony wraca, i na pierwszym kazaniu, na którym znajdowała się moja córka, jedyne dziecko moje; na pierwszym mówię kazaniu, biedny ksiądz w największym zapale mowy widzi niebieskiego psa, słyszy jego szczekanie i krzyczy: „przeklęty psie! idź sobie szczekać gdzieindziej, a nie w przybytku pańskim,“ a potem pada apopleksyją tknięty, i w dwa dni potem umiera. Oto koniec drugiej historyi samoludy przezemie spostrzeżonej i lezonej; cóż ty powiadasz na to młody genialny doktorze.

— Powiadam na to, — odrzeknie doktor Wojciech Duval, — że byłbym postępował inaczej, mniej farmakologiczno-medycznie, a więcej psychologiczno-medycznie, i to w jednym i drugim razie. Sztuka lekarska od pewnego czasu postąpiła. Dzięki umysłom na wielką skalę wykształconym, czerpie ona zasoby swoje z wszystkich innych nawet najmniej materalnych nauk, i

wcale inaczej stanowisko swoje pojmuję jak przedtém. Nie bierz mi za złe szanowny kolego, ale wyznać ci muszę, że w dzisiejszym stanie nauki lekarskiej możnaby wyleczyć takie przypadki hallucynacyi, jakich padli ofiarami pan Graham i ksiądz Doudonnald. Ale przedewszystkiém racz mi opowiedzieć historyją trzeciego, przez ciebie spostrzeżonego i leczonego przypadku samoludy. Czy się także tak smutno zakończył?

— Oh, Bogu dzięki nie! jeszcze żyje ten pacjent, jeszcze sztuka lekarska może na nim wykazać ową cudowną skuteczność, rzecze głębokim wzruszony uczuciem pan Modestly. Opowiem panu historyją téj choroby. Oto właśnie w chwili, kiedy wielebny Doudonnald dostał na saméj ambonie napadu, może w skutek za nadto wielkiego natężenia umysłu, i krzyknął jak szalony: „*idź precz niebieski psie! szczekaj gdzieindziej!*“ w téj saméj chwili znajdowała się w kościele siostrzenica jego, a moja własna córka, moje jedyne, ukochane i największego ukochania warte dziecko. Ona, wówczas dziesiętnastoletnia panna z znakomitým ukształceniem

i najlepším sercem, a z bardzo skromną wcale nierozbujalą wyobraźnią, do tego się stopnia przeraziła ową sceną w kościele, i następnie nagłą śmiercią wuja, brata zmarłej matki, którego bardzo kochała, że w głowę zaszła i dostała zapalenia mózgu, następnie wpadła w tyfus, leżała ze dwa miesiące bez przytomności, i nareszcie odzyskawszy ją, zobaczyła obok siebie zielonego kota ogromnej wielkości, który ciągle miauczał, darł się i chciał wskoczyć na jej łóżko.

— Zielony kot? a pfe! tylko żaby są zielone, papugi i koniki polne.

— Zielony kot barwy szmaragdowej, wielki jak żbik, z oczyma jak główne i z klami, pazurami i wąsami nadprzyrodzonej wielkości. Otóż, takie dziwne zwierzę wymarzyła sobie w swoim delirium, a to widmo ani jej na chwilę nie odstępowało, tylko ciągle znajdowało się koło biédnej Anny na prawo i lewo miaucząc, karcząc i parskając. Ten stan trwał ze dwa miesiące, dopóki trwała rekonwalescencyja niezwykle długa po tyfusie, a potóm gdy Anna już wstawać i do ogrodu wychodzić mogła, zielony kot jawił się rzadziej, ale jednakże kilka razy na

dzień i czasem tak niespodzianie, że pacjentka zrywała się równemi nogami z przestraczem, od którego jój serce biło jak młotem.

Sobie samemu nie zawierając, zasięgnąłem dla méj jedynéj córki rady najslawniejszych lekarzy Glazgowa, Edymburga a nawet i Londynu. Jedni zapisali chinę, drudzy żelazo, inni jeszcze bobrowy strój, wszyscy zalecali rozrywki i podróże, wszystko się przeprowadzało najsystematyczniej, nic nie pomagało, a można nawet powiedzieć, że podróże jeszcze pogorszyły stan, bo Miss Anna, skromnie i wstydliwie wychowana, lękała się ciągle, żeby w przytomności obcych ludzi nie dostała konwulsyjnego napadu trwogi, jak to nawet nie raz bywało.

A nakoniec stan Anny jeszcze się pogorszył, bo jakaś ją ogarnęła niewiara w swój własny rozum; wiedziała że zielony kot egzystować nie może na świecie i nie istnieje, wiedziała że jest ofiarą chorobliwéj samoludy, a jednakże pomimo najlepszego sądu we wszystkich innych przedmiotach, odpędzić nie mogła z wyobraźni, nudnego, ciągle ją ścigającego obrazu. Zdawało jój się, że jój władze umysłowe codziennie sła-

bną, róże znikły z jój niegdyś tak czerstwego li-
ca, oczy omdlały, rozpacz ją ogarnęła, chciała
koniecznie wrócić do domu i żyć w nim najzu-
pełniej samotnie, a ja przystać musiałem na
wszystko, bo najmniejszy opór stawiony jój
woli, martwił ją nadzwyczajnie i stan jój pogor-
szał. Już od roku żyje w zupełnej samotności,
zajmując się jednakże cokolwieczek gospodar-
stwem, schodząc czasem w dni słotne i nie bar-
dzo pogodne do ogrodu; czasem nawet pójdzie
do kościoła, gdzie siada w osobnym chórze; sło-
wem wpadła w stan melancholii z którego jój nie
wyrwać nie zdoła, i kilka, czasem kilkanaście ra-
zy na dzień widzi około siebie zielonego kota,
wygania go, nawet kiedy jest na osobności,
przemawia do niego zupełnie jak poczynająca
monomaniaczka raz płacząc, raz się śmiejąc;
dla tego widać tak lubi samotność żeby się nie
wstydziła tych rozmów prowadzonych z czwo-
ronożnym widmem.

A potem w chwilach wolnych od samotudy,
biędna Anna rozpacza o swój rozum i o swoje
życie i mówi do siebie: „Wujaszku Doudonnald
wkrótce się połączymy na tamtym świecie, je-

dniej choroby jesteśmy ofiarami; tylko ciebie pies do grobu zaprowadził, a mnie tam kot zaprowadzi. Dziwny los! brzydki, śmieszny los!"

I nie raz biedna Anna tak do siebie mówiąc, wybuchnie tak rozpaczliwym śmiechem, że mi się serce na jego odgłos kraje. A do tego stopnia lubi być samotną, że mnie nawet często wysyła w podróż za najmniejszym powodem, tylko dla tego, żeby mi nie zakrwawiała serca swym widokiem.

W krwi Doudonnaldów (o ile znam téj niegdyś bardzo zamożnej a zawsze rozsądnej rodziny od dwóch wieków historiją) nie tkwi żadne wrodzone usposobienie do hallucynacyi. Prócz poczciwego prezbitera żaden Doudonnald nigdy na samoludy, ani na żadną umysłową chorobę nie cierpiał. Cóż sądzisz o tém doktorze?

— Sądzę, — odpowiem staremu koledze, — że poczciwy prezbiter, dostał hallucynacyi w skutek zbytniego natężenia umysłowego, połączonego z zbytnią wstrzemięźliwością, i jestem pewien że Miss Anna dostała zapalenia mózgu, tyfusu a następnie obłądu umysłowego, jedynie

tylko w skutek zapatrzenia się na swego wujaszka, w skutek przestachu i zmartwienia spowodowanego, przez nagłą śmierć jego. Jest tutaj hallucynacja wcale niezwyklej przyrody, bo połączona z niewiarą w to co się widzi, a co istotnie nie istnieje. Trudno jest wyleczyć z takich hallucynacyj, ale ja znam na nie sposób, tu trzeba leczyć ciało, umysł, duszę a nawet serce od razu.

— Serce, mówisz mój młody kolego?—odpowie na to pan Modestly,—serce? u niej serce nie przemówiło jeszcze nigdy, czyli raczej gdy jój matka umierała, cztery lata temu, zezwoliła na zaręczenie się z swoim kuzynem Doudonnaldem, także bardzo poczciwym, bogobojnym prezbiterem, i przyobiecała zaślubić go, skoro dojdzie do pełnoletności.

— Kto? czy skoro ona dojdzie do pełnoletności, czy też on? — spytam pana Modestly.

— Ona, bo on to już Bogu dzięki dawno doszedł pełnoletności, ma już przeszło czterdzięci lat, na ten wiek już jest spokojnym, cichym, ustatkowanym, a to aniół nie człowiek.

— Masz tam tedy, aniół czterdziestoletni,

w czarnej todze i z białą fryzją, przytém cichy, wstydlivy i zapewnie tabaczkę zażywający, jak wypada na duchownego prezbiterijańskiego.

— Istotnie tabaczkę zażywa, orzeźwia to pocziwca, bo często zatopiwszy się w religijnych myślach, usypia sobie snem sprawiedliwego tak głęboko, że aż zazdrość bierze.

— Ach! pojmuję, mój dobry kolego Modesty, to musi być bardzo miły człowiek, zwłaszcza dla kobiety religijnie wychowanej, zapewnie limfatycznej blondynki także spokojnej i nieruchomej.

— Tak bardzo limfatyczną ona nie była wprzód; owszem, dość temperamentową, jeździła dzielnie konno, zapamiętała lubiła taniec, i właśnie dla hamowania tych ognistych popędliwości, nieboszczka żona moja wybrała jęj tak spokojnego małżonka.

— Blondynka czy brunetka? niskiego wzrostu, czy bardzo wysoka?

— Nic z tego, ciemna szatynka z piwnemi oczyma, średniego wzrostu i niegdyś wcale dobrej tuszy, lubo wysmukłej i giętkiej kibici, tak jak do dziś dnia nie przestała jęj mieć.

Już miałem na języku pytanie: „A czy jest brzydką lub piękną?” gdy przecież wielkim szczęściem ugryzłem się w ten brzydki organ, o którym Ezop tyle złych rzeczy dobrze powiedział.

Tego jedyne pytania nie mogłem przesunąć przez zęby moje, lubo co do reszty wywiedziałem się wszystkiego; co tylko lekarz od lekarza o pacjentce wywiedzieć się może. Ale powiadam wszystkiego, prócz kwestyi piękności, nie należącój wcale do rzeczy ściśle medycznój.

Jakże tu nie być delikatnym, ze starcem sześćdziesięcioletnim, wzywającym dwudziesto-sześćcioletniego kolegę do obradowania nad stanem zdrowia młodój jedynój córki.

Przejąłem się głęboko jego położeniem, głowę brzemioną pomysłami, wsparłem na rękach, spojrzałem mu w oczy i znalazłem w nich lzy smutku, i żywo tlejącą iskrę oczekiwania, nadziei.

— Panie Modestly! szanowny mój kolego! ja ci ją wyleczyć muszę! krzyknąłem z żywym zapalem zagrany świętym ogniem owego prze-

czucia niezglębionego w przyczynach, a w skutkach tak płodnego.

— Tak, wyleczyć ją muszę, wyleczyć ją mogę, czuję to w sobie jakimś dziwnym przecuciem sił moich przejęty, ta kuracja będzie moim prawdziwym egzaminem doktorskim.

— Otóż właśnie co ci chciałem proponować, kochany doktorze, poznawszy się na talencie twoim i na téj zacności charakteru. Już napisałem córce mojej, żem tu poznał lekarza znakomitych zdolności, obznajmionego ze wszystkimi tajemnicami chorób i lekarstw duszy, już zdołałem przewyciężyć wrodzony jój wstręt do Francuzów, któryby mógł stanąć na zawadzie pomiędzy tobą a jój zaufaniem; więc jedź do Carlisle, oddalonego tylko o dwadzieścia mil stąd, ja ci towarzyszyć nie mogę, bo tu jak wiiesz rozpocząłem kuracją przeciw mojej pedogrze; ale prosto zajeżdżaj do domu mojego, rozgość się w moich pokojach, używaj moich koni eugowych i wierzchowych, słowem, bądź jak we własnym domu, i pozostań w nim przynajmniej trzy tygodnie, i przez ten czas zastępuj mnie u pacjentów moich, u których cię uwie-

rzytelnię najpochlebniejszymi listami. Czy przystajesz na to?

— Przystaję jak najchętniej.

— Pocziwy mój przyjacielu! jakiś ty dobry; ale pozwól zrobić sobie jeszcze jedną propozycją. Wiem, że nie jesteś bogatym, mnie zaś Bóg pobłogosławił doczesnym dobrem, więc powiedz, można ci ofiarować 450 funtów sterlingów na kosztą podróży, na małe wykwipowanie się, na najęcie służącego, którego ci radzę wziąć z sobą?

— Darmo, nie mogę ci nic odmówić, mój stary przyjacielu, rzekłem z ciężkim westchnieniem, ale istotnie serce zadygotało we mnie, bom tyle pieniędzy w życiu swoim nawet razem nie widział.

— Kiedyż będziesz mógł wyjechać?

— Dopiero za cztery dni.

— Natychmiast napiszę do mej córki Anny, i do świątobliwego prezbitra Doudonnalda, zwiastując im twoje przybycie, i prosząc, żeby nie mieli wstrętu do ciebie.

* * *

Było nas kilku Polaków na Uniwersytecie Edyńburskim, a wszyscy posługiwaliśmy się jednym służącym, także w Warszawie zrodzonym, nadzwyczajnie rozgarnionym i pomysłowym człowiekiem, który bawiąc już od 1831 r. w Edyńburgu, nauczył się doskonale po angielsku, ożenił się, przykładnym był mężem i ojcem, wiernym sługą, ale przytém zawsze do wszystkich figlów gotowym współdziałaczem i pomocnikiem, a tych figlów tworzyło się mnóstwo pomiędzy wesolą młodzieżą owój wesolej akademii Edyńburskiej.

Słońce w Szkocyi nie bardzo grzeje, zwłaszcza podczas zimy, a jednak ciepła krew wrze w żyłach zdrowej, silnej i poetycznej młodzieży szkockiej, jest-to błogi wynik moralności do tego stopnia szanowanej, że młodzieniec skazonój rozpustą krwi, jest tutaj wyjątkiem, przedmiotem odrazy i wcale niepowściąganego potępienia.

Więc wezwałem Janka do pomocy, i on to jest fabrykantem owego zielonego kota, którego tyle podziwiasz, że od niego oderwać nie możesz oczu, nawet podczas mojego opowiadania, zasługującego może z tego względu na pe-

wną uwagę, że i w twojej praktyce mogą się wydarzyć pewne wypadki samoludy, które leczycie wypadnie inaczej jak senesem i kremortartarem, to jest środkami staroświeckimi, tylko aptekarzom na pożytek idącymi.

— Zatem najpyszniejszy kot angora, zakupiony przezemnie za dwadzieścia dukatów u jednego z posługaczy naszego zoologicznego ogrodu, przemienił się we dwa dui w rękach zręcznego Janka za pomocą farby roślinnej, zdrowiu nieszkodzącej, w kota najzieleńszej barwy tak wesołego i figlarnego, jakim tylko być może kot szlachetnego rodu, dobrze wychowany i starannie pielęgnowany. Oczy miał ogniste, ogon czupurzysty, wąsy odstające gęste, na czerwono farbowane, brwi, jak widzisz na czarno malowane dla wyniesienia blasku oczu, zęby zaś naturalnej piękności i mocy, na których piękność sztuka dentystowska niczem nie wpływa.

Janka przyjąłem do służby mojej, wysłałem go z mojami nowo zakupionymi rzeczami, dyliżansem do Carlisle dla przygotowania mi kwatery w domu starego kolegi, ojca mojej przyszłej pacjentki, a sam w kilkanaście godzin po-

tém ekstrapocztą (bo kolei żelaznej jeszcze tu niéma łączącej Edyburg z Carlisle) pojechałem za Jankiem z bardzo dużym koszykiem, w którym spało, skakało i figlowało okrutne widmo Miss Anny Modestly, straszliwy potwór wyobraźni młodej dziewicy rozkochanej w księdzu prezbiterze panu Doudonnaldzie.

— Czy jest brzydką? czy jest ładną? czy piękną? czy jest flegmatyczną, czy ognistą? czy jest głupią, czy uczoną? oto pytania, które sobie nie raz zadawałem w ciągu téj podróży szybkiej i prędkiej, toczącej się po najpiękniejszych miejscach południowej Szkocyi, tak poetycznie opisanéj przez naszego ziomka Lacha-Szyrmę.

— Więc jestem w Carlisle.

* * *

— I.. reszty się domyślam kochany kolego, a na dowód tego opowiem ci wszystko; przerywam doktorowi Duval cokolwiek rozwlekle historiją samolud opowiadającemu.—Więc znajdujesz ją przedziwnie piękną, tkliwą, romantyczną, lecz niestety nieszczęśliwą, bo ona nie kocha nudnego prezbitera, i chociaż nie śmie tego

przed sobą samą wyznać, pielęgnuje w duszy swojej wymarzony ideał, w którym się kocha skrycie jak w miłym dziecku fantazyi swojej.

Ty się jawisz brunecie, dość wysokiego wzrostu, z ciemnoniebieskimi oczyma i zdrowymi zębami! ty się jawisz brunecie, w! którego żyłach krąży szlachetna krew polska i żywa krew francuzka.

Ha! idea stała się ciałem! darmo, nie ma rady: ona już w pierwszej chwili pojmuje, że cała jej miłość, jej przeszłość, jej dusza do ciebie należy: ale będzie walczyć aż do śmierci, i umrze walcząc i ściskając swe dziewicze serce, bo presbiterowi dała słowo, że go zaślubi, bo umierającą matce przysięgła, że presbiterowi odda rękę, a presbiter z cielecą fizyonomiją i w długim czarnym surducie, zażywając tabaczkę patrzy się na nią z boku, i nie pojmuje czemu się tak rumieni zimna Anna, i czemu jej oczy błyskają tak dziwnym ogniem, gdy nań promyk ze źrenicy owego francuskiego lekarza padnie.

Nareszcie mówić zaczynacie o chorobie. Ach! ona już od dawna rozpacza, bo wie, że jej choroba nie jest do wyleczenia, że się skoń-

czyć musi idyotyzyzm, obłąkaniem i przedwczesną śmiercią. Ach! ona wiele czytała o takich stanach! Przecież ona najlepiej wie, że kota zielonego nie może być na świecie, przecież ona pewna, że to tylko fantom jęj schorzałej wyobraźni, ale, ona już nie ma dostatecznej siły w swym umyśle, żeby mogła rozumem odegnąć tę podwójną a najniebezpieczniejszą samoludę.

A ty mówisz: — pani nie wierzy w zielonego kota? ja w niego wierzę tak jak w niebieskiego lisa, w białego kosa i w białych murzynów. To co pani bierze za utwór schorzałej fantazyi swojej, to może cieszy się prawdziwą materyjalną istnością, to może *jest* co się pani zdaje że *jest*, idzie tylko o zakłęcie tego widma, o zmuszenie żeby przybrało materyjalną postać. Ja jestem magnetyzerem, ja umiem zaklinać samoludy; patrz pani! jedném takim spojrzeniem i wyciągnięciem palców; oh! jak się elektryczność z nich wydobywa.

Teraz panna Anna, słysząc o takich nadzwyczajnościach, o jakich nigdy dotąd nie miała pojęcia, zaczyna się mięsząć, pada na krzeselko, dostaje swojego widzenia i krzyczy: — Oto jest,

oto jest zielony kot! chce skoczyć na mnie! — A ty wtenczas wytrzeszczasz oczy, wyciągasz ręce i zaklinasz dziewięcioma siarczystymi abrahamadabrami owe widmo, żeby się wcieliło. W drugim pokoju czuwa Jasiiek, dawny dobosz z farbowanym kotem pod pachą; na znak dany puszcza zielonego angore, który przynęcony nadzwyczajnie miłym zapachem ozanki (a), (którą pokryjому służebnica wyperfumowała bieliznę i suknie panny Anny), rzuca się obces na dziewczę. Miss Anna wydaje krzyk przeraźliwy, mdleje, dostaje serdecznego śmiechu i różnych innych spazmatycznych przypadłości. Ty zapisujesz bobrową essencyją i wypychasz presbitera z receptą do apteki; a potem żalujesz ją... jak możesz, i sposobem Hyppokratesa *contraria contrariis*, i sposobem Hahnemana *similia similibus*, nareszcie następuje *crisis*, a po zażyciu bobrowej essencyi, sen pełen najmiłszych, różo-

(a) Teucrium marum, Ozanka kocie ziele. Cała ta roślina ma zapach mocny, przenikający, korzenny, za którym tak się koty ubiegają, iż ciągle w bliskości nich bawią, tarzając się na ziele i wyjąc z rokoszy.

wo-barwnych marzeń, sen z przygrywaniem niebieskiej harmonii w oczarowanych uszach.

Zielony kot leży na łóżku obok swój pani, a gdy ta oczy otworzyła, już go się nie bała, lecz poglaskała go!!! ach! ona w téj chwili przytulilaby cały świat do swego zachwyconego serca, a na doktora swojego, którego już nazywa zbawcą i *dear friend*, to jest drogim przyjacielem, na doktora swojego spogląda tak tkliwie, taką rzewnie, tak pełnym duszy spojrzeniem, że się aż prezbiter gorszy, i pojąć nie może jak *dusza* może być do tego stopnia wdzięczną za ocalenie swój cielesnej powłoki.

Zielony kot i doktor Duval stają się nieodstępni towarzyszami Miss Anny, która siednu dni spędziła w łóżku, a tyleż nocy przespacerowała w ogrodzie z kotem i lekarzem, improwizując dziękczynne pienia do pocziwego księżyca i do miłych gwiazd, tak rokosznie błyszczących na kochaném niebie. Trwało to dni siedm, a potem gdy się dowiedziano, że prezbiter napisał do pana Modestly z uwiadomieniem, iż kuracyja dokonana, doktor już niepotrzebny, i że nic, zdaje się, nie stoi już na przeszkodzie jego

związkowi z Miss Anną, potem mówię, po siedmiu dniach i tyluż nocach, Miss Anna pojechała jednego pięknego wieczora z kotem i z lekarzem do Gretna-Green, odległego tylko o stacyją pocztową. Miała interes do kowala, kazała sobie dać ślub *nie* z kotem, ale tylko z doktorem, i wracając do domu, wstąpiła do wielebnego Doudonnalda, aby go zaprosić na wesele.

Tego też samego dnia przyjechał pan Modestly, aby wypędzić swego młodego kolegę z domu, ale gdy się dowiedział, że on stał się jego zięciem na kowadle i de facto, więc go uściskał bardzo rzewnie i pobłogosławił nader skutecznie.

Potem powtórzono jeszcze ślub w kaplicy katolickiej i kościele prezbiteryańskim, gdzie Reverend Doudonnald palnął swęj dawnęj narzeczonęj kazanie na temat wzięty z tragedyi Shakespeara „*Frially thy name is women*“ co znaczy po polsku „Wątłość! twojém nazwiskiem jest kobieta.“ A powiedział kazanie swoje z dobrem sercem.

Jak najprzykładniej zgodzali się z sobą

teść z zięciem. Gdy jeden wyjeżdżał do chorych, drugi zostawał w domu i nawzajem. Pacjenci byli doskonale obsłużeni, i pieniądze walily się do domu.

Zielony kot poważanym był przez całą rodzinę jako kamień węgielny całego jój szczęścia, ale po urodzeniu twego pierwszego dziecka, kot został cokolwiek zaniedbanym, a nawet po prostu wyganianym z sypialni pani doktorowej. Kot widząc się w niełasce, rzucił się na gastronomiją, zapasł się plumpudingami, i zdechł na apopleksyją. Ty kochany kolego, w nagrodę za otrzymane usługi, kazales skórę kota wypchać, serce jego zawarte w puszcze posrebrzanej zachowałeś w marmurowej urnie, zdobiącój ten przybytek nauki, a resztę zwłok kazales pochować w ogrodzie w klombie, na którym rosna: arcy-dzięgiel, kozłek i ozanka, miłe kotom rośliny. To téż na tym klombie ciągle odbywa się żałośno-krotochwilny koncert koci, zwłaszcza gdy ozanka kwitnąć zaczyna. I to was często aż do łez rozrzewnia. No! powiedz kolego, czy nie tak było?

— Wszystko tak było, co do joty wszystko

tak było, Ale na miłość Boga skąd to wszystko wiedzieć możesz?

— Domyśliłem się wszystkiego; to jest historyja nie jednéj kuracyi dokonanej przez nieznanego lekarza z piętą a nerwową pacjentką. Ale zajeżdża jakiś bardzo piękny powóz. Ah! poznaję w miłym starcu, teścia twojego, w kwitnącej zdrowiem i pięknnością kobiecie, żonę twoją, w bladym zasępionym Jegomości, presbitera, dawnego narzeczonego twój żony, przyjaciela domu. Ale gdzie dzieci twoje? gdzie Jasiak, dobosz warszawski?

— Na górze, w dzieciarni, troje tego, samych synów. Jasiak ich wychowuje i kształci w języku polskim.

ROZDZIAŁ III.

Komedyjantki w Anglii.

O córki Melpomeny, Thalii i Terpsychory! Gdy was widzę na scenie świetniejące blaskiem piękności i talentu, wówczas sobie mówię: ileżto młodych ludzi nie pada ofiarą owego wdzięku, którym obdarza natura i sztuka!... Ileżto nawet dojrzałych, mocnych i trzeźwych głów nie przewraca się na widok tego uroczego piękna, podnieconego urokiem poezyi i muzyki.

Ach aktorki! waszém powołaniem, waszą sztuką jest ludzić i zwodzić, zanadto jesteście zwodnicze, abyście mogły być dobrymi; za nadto świetne, abyście mogły być szczeremi; zanadto

zubóstwiane, abyście mogły kochać. Żal mi tego który was pokocha i los swój do waszego przyczepi, żal mi go zwłaszcza wtenczas, kiedy tak szlachetne i głęboko wszczepione posiada uczucia, że stratę swoich illuzyj, swojego najmilszego szczęścia przez całe życie oplakiwać będzie.

Nasze ubolewania nad losem ofiar wdzięków teatralnych, każdy usprawiedliwi, który następującą przeczyta historiją, jest ona tylko jedną ze stu tysięcy podobnych, jeszcze więcej rażącemi barwami napiętnowanych, ale że się prawie przed naszymi odegrała oczyma; ale że ofiara i ofiarnica i kaci znanemi mi byli, więc zdaje mi się, że opis tego, szybko odegranego dramatu, nie będzie bez zajęcia czytany i może wpłynie korzystnie na uczucia i rozsądek owęj młodzieży, która najpiękniejsze chwile życia swojego spędza sprośnie i bezrozumnie w towarzystwie istot nie wierzących w szlachetne uczucia.

* * *

Podczas mojego pierwszego pobytu w Edyngburgu, zaznajomiłem się w klubie literackim cu-

dzoziemskim z młodym i bogatym baronetem szkockim, który właśnie skończywszy rok dwudziesty pierwszy życia, uzyskał od Uniwersytetu Edyńskiego dyplom licencyjata obojga prawa i to *eximia cum laude*. Sir Francis de Montrose Stuart nigdy nie przekroczył granic swęj ojczyzny Szkocyi, ale tak lubił cudzoziemców, że z kilkunastą innymi uczniami Uniwersytetu Edyńskiego posiadającymi języki, wstąpił do klubu literatów cudzoziemskich, i wywiązywał się nadzwyczaj gorliwie z zaciągniętych obowiązków, to jest co miesiąc przeczytał na publiczném posiedzeniu własną rozprawkę w jakimś z języków obcych, a najwięcej lubił język francuski i hiszpański.

Przytém, będąc bardzo bogatym, a może najbogatszym ze wszystkich członków klubu,łożył hojnie na zbogacenie biblioteki tegoż klubu i na uczestowanie kolegów, co mu zjednało w wysokim stopniu serca wszystkich członków klubu, bo w Szkocyi tak jak i u nas:

Papką, czapką i szkapką,
 Sołą, rolą i wolą,
 Ludzie ludzi niewołą.

A że mu nie brakło ani prawdziwie szlachetnego ugrzecznienia, ani dowcipu, ani dobrego humoru i serca, więc można powiedzieć, że młody Sir Francis de Montrose Stuart stał się duszą klubu, ogniskiem ożywczém około którego zbierali się wszyscy ciepła potrzebujący członkowie.

Nie zbywało zaś na takich, którym brakło ciepła, bowiem na Wszechnicę Edymburską uczęszczało ze czterdziestu Niemców, Włochów, Hiszpanów i Polaków.

Przytém, był pięknym nasz młody baronet, pochodzący przez matkę w prostej linii od królewskich Stuartów, ze strony zaś ojca od jednego z najlepszych przyjaciół i najwaleczniejszych towarzyszyów Wilhelma Zwycięzcy. Pięknym był, wysokiego wzrostu, szatynem z granatowemi oczyma i młodziutkim ale już dobrze wydatnym wąsikiem, przytém wyraz jego twarzy lubo miły i łagodny, napiętnowany był ową cudną energią silnej duszy, ową pewnością siebie, która jest najlepszém mianem prawdziwie szlachetnej, pięknej duszy, i tyle się podoba mężczyznom ile najwybredniejszym kobietom, zwłaszcza, gdy

te znamiona samoistości połączone są z pewną naiwną, jeszcze dziewiczą skromnością.

Jeszcze się rumienił Sir Francis jak panienka, gdy zbyt pałającego, śmiałego lub pożądliwego oka promienie na jego twarz padły, a te promienie błyskały nań czasem z pod mądrego czoła córek Szkocyi, na pozór zimnych, ale częstokroć tak romantycznych jak średniowieczne bohaterki Walter Scotta, których urokowi i my oprzecz się nie zdołaliśmy, gdyśmy w młodości naszój na ławkach szkolnych pokryjomu polykali płody pióra *Wielkiego nieznanomego*.

Młody Sir Francis już był narzeczonym swój najmłodszój kuzynki, córki najstarszego brata nieboszczyka ojca swojego. Lord Montrose, margrabia Kilmarnok, wdowiec od lat kilku, jedną tylko miał córkę; Sir Francis jedynym tylko był potomkiem męskim Montrosów, na niego więc spadnie i ogromny majątek margrabiego i jego tytuły i dostojęństwo. Dla tego też ze szczególną wychowywano go pieczołowitością, i narzeczona jego, jeszcze prawie dziecko, bo ledwie czternaście wiosen licząca, ale także wiele rokująca pięknnością i dowcipem, wzrastała

w rzewnej i pełnej najmilszych przeczuć miłości względem kuzyna swojego, którego za lat kilka nazwie mężem.

Wszystko rokowało naszemu bohaterowi najpiękniejszą przyszłość; wszystko zapowiadało mu urzeczywistnienie najgorętszych pragnień całej rodziny, chcącój się w potomkach odrodzić do nowój chwały i do licznych podpór dawnego blasku znakomitego Montrosów nazwiska.

Ale cóż robić z temi kilku latami, których panience potrzeba do rozwoju fizycznego, a narzeczonemu do położenia podstaw na późniejsze zasługi na politycznej drodze?

Wysłać go na ląd stały nie chciano, bo jeszcze za nadto był młodym i niedoświadczonym, aby własnemi mógł latać skrzydłami w wielkim świecie i obejść się bez opieki, a znów za nadto miał niezależności w charakterze na podleganie zwierzchnictwu jakiego guwernera, więc matka i stryj wysłali go do Londynu, aby tam wprowadzony w wyższe towarzystwa i przysłuchując się obradom parlamentu, wyrobił w sobie manierę, aby się nauczył obcować z dostojnościami Wielkiej Brytanii, nareszcie, aby się

przygotował wystąpić za lat kilka jako deputowany w zawód polityczny.

Ma się rozumieć że go polecono kilku damom z arystokracji, z którymi go łączyły dalsze i bliższe stosunki powinowactwa.

Cóż w miesiąc po moim powrocie ze Szkocyi do Anglii, przybył do Londynu Sir Francis de Montrose Stuart, i najął piękne mieszkanie w najświetniejszej dzielnicy miasta przy ulicy Portland.

W tydzień po przybyciu odwiedził mnie, i tém mi wielką sprawił przyjemność, szczerze bowiem polubiłem tego młodzieńca tak hojnie obdarzonego przez naturę, i tak pięknie rozwiniętego pod każdym względem. Byłem mu serdecznie wdzięcznym za tę pamięć serca udowadniającą, że chwile spędzone razem w Edyburgu nie zostały zapomnianemi, i objawilem mu wdzięczność swoją w sposób szczerzy i żywy.

— Śmiem liczyć na to, — odpowie Sir Francis, — że mi pan jako człowiek doświadczeńszy, a jednak wiekiem dość do mnie zbliżony, raczysz zezwolić, że od czasu do czasu przyjdę zasięgać rad jego co do prowadzenia się w tém

ogromném mieście, w którym tyle żyje różnorodnych ludzi, iż trudno ich wartość od razu odgadnąć, liczę nawet na to, że mnie pan zaszczytujesz swemi odwiedzinami.

— Najchętniej przystaję na jedno i drugie, ale powiedz mi baronecie, w jaki sposób chcesz przepędzić czas swój tutaj w mieście.

— Nie myślę folgować ognistości temperamentu mojego, i rzucać się z niewyrobionemi siłami w prąd życia tak szybko i szalenie toczącego się w Londynie, — odpowie bardzo rozumnie Sir Francis. — Przedewszystkiém, chcę się zapoznać ze znakomitościami politycznemi przez czytanie gazet, przez przysłuchiwanie się obradom parlamentarskim i nareszcie w salonach, do których mam nadzieję, że mnie arystokracja przypuścić raczy. I jednocześnie będę brał lekcyje fechtowania, dla nabrania więcej wprawy w robieniu bronią, i lekcyje wyćwiczenia się w obradowaniu i uczęszczaniu na kursa Ekonomii politycznej u pana Wahelday, jednego z najslawniejszych professorów uniwersytetu, i zarazem członka parlamentu. Rok cały myślę prze-

pędzić w taki sposób, a potem dopiero puścić się w świat.

Takie były roztropne postanowienia baroneta, i wierny im, wziął się zaraz gorliwie do dzieła i przetrwał w nim tygodni kilka. Widziałem go dwa czy trzy razy podczas tego pierwszego zakresu życia w Londynie.

* * *

Ale naraz Sir Francis przestaje bywać u mnie, i już go nie znajduję w domu w godzinach, w których wprzód zawsze bywał.

— Zmienił widać tryb życia? — pytam się służącego, którego najął w Londynie; przywiezionego bowiem ze Szkocyi odesłał do domu, dla tego, że żadnym sposobem nie chciał przywdziać spodni, i chodził we fraku liberyjnym z nogami *in naturalibus* i w spódnicy szkockiej.

Dziwi mnie jednakże, że tak mała rzecz jak *spodnie* mogły zniewolić baroneta do odesłania sługi, który go od małego dziecka na rękach piastował.

— Zmienił widać tryb życia? — pytałem się

jeszcze raz wymownego jak karp' a wyglądającego jak szczupak John Bulla.

— Kto taki? — rzeknie Anglik.

— Sir Francis de Montrosa Stuart, rozumie się.

— Od czasu jak w jego służbie jestem, nie zmienił trybu życia tylko suknie i bieliznę, i to trzy razy na dzień, — odpowie John Bull.

— A zatem zawsze jeszcze bierze lekcje tańca i wymowy, uczęszcza na kurs ekonomii politycznej i na posiedzenia parlamentu?

— Wiem, że rano bierze lekcje tańca, muzyki i śpiewu, że w południe wyjeżdża z nutami na miasto, i że co wieczór jest w teatrze, — odpowie Anglik z miną człowieka znękanego wybadywaniem.

Nazajutrz przybył do mnie Sir Francis, ubrany z niezwykłą wykwintnością, włosy miał fryzowane i perfumowane. Przechadzając się zemną po pokoju, i prowadząc rozmowę urywkową, często spozierał w zwierciadło, i poprawiał sobie to włosy, to halsztuk, nadymał piersi i kibić swoje wyciągał, nadając nowomodnemu błękitnemu, białym atlasem podbitemu rajtfrakowi,

faldzistość elegancką, *une disinvolture debraillée*, jak to mówią Francuzi. Rękawiczek barwy maślanej wcale nie zdejmował, do oczu przytykał chustkę batystową obficie wonią napawaną dla nadania im blasku, a wąsiki lekko zaczernione płynem niezmażalnym, gładził starannie. Prześlicznej wody szmaragd, okolony rzędem rześstych brylantów tkwił w halsztuku, i odbijał się na tle czarnego atlasu, jak światło arganckie w najciemniejszej nocy świecące.

Mowę zaś swoją także wyszukanie wykwin-tną, krasił świeżemi galicyzmami, i nudy urywkowej rozmowy spędzał nuceniem urywków z najnowszych oper włoskich.

— Cóżto baronecie? surowy Spartańczyk przemieniony tak nagle w wykwinutego Ateńczyka?—zagadnę nareszcie Sir Francisa cokolwiek zniecierpliwiony rozmową fataląską do niczego nieprowadzącą.

— Tiens? skądże wiesz doktorze, że ta przemiana nastąpiła?— spyta Montrose Stuart, uśmiechając się i spozierając z ukosa w zwierciadło.

— Najprzód, wiem od twego John Bulla, któregoś przyjął za lokaja w miejsce odesłanego do

domu, wiernego syna Kaledonii, potem, żeś wypchnął od siebie Marsa, a wypuścił Terpsychorę, to jest, że w miejsce szermierki uczysz się tańcerstwa; dalej, dowiedziałem się od tegoż samego chudego Anglika, że lekcye muzyki i śpiewu, nastąpiły w miejsce szlachetnej nauki wymowy, nareszcie przekonałem się, że zamiast spędzać wieczory na posiedzeniach parlamentu jak przedtém czyniłeś, trawisz je w teatrach; teraz zaś widzę, żeś porzucił skromny ubiór i jędrny ton syna północy, dla wykwintnego stroju *fashionable* londyńskiego, i dla fertycznego *sans-fasonu* dandysa. Nie poznaje już w tobie owego młodzieńca pełnego zapалу dla cnót rodzinnych, gotującego się wstąpić w zawód parlamentarski dla obrony praw swojego ludu.

— Mylisz się kochany doktorze w sądzie o mnie, tak jak ja się myliłem w wyborze środków doprowadzających do celu, do którego zmierzać nie przestaję, — odpowie Sir Francis siadając wygodnie na kanapie i sadzając mnie z niewypowiedzianym *aplombem* obok siebie.

— Ach przecież — pomyślę sobie, — ach przecież nadchodzą przyjacielskie zwierzenia. Wy-

bijmy wylom w duszy tego, przedtém tak szlachetnie myślącego młodzieńca.

— Widzisz doktorze, rzeczy dalej Sir Francis,—my tam w staréj poczciwéj Kaledonii, i ty sam wychowany w pojęciach klassycyzmu, ty i my nie zbliżając się do wielkiego świata dzisiejszego, i tylko tradycjami przeszłych wieków karmiąc duszę i żywiąc zapały swoje, *my* wcale nie wiemy, że od czasów greckich i rzymskich, staro-szkockich i średnio-angielskich przeszły wieki; my zapomnieliśmy, że czasy starego klassycyzmu, średniowiecznego rycerstwa a nawet dość niedalekiego bohaterstwa Napoleońskiego już minęły, najzupełniej przeszły, i brzmią tylko w uszach naszych jakimś odgłosem, który my oczarowani *wryczytaném pięknem*, nie biorąc dostatecznego udziału w żywotnych sprawach, teraz losami ludzkości pędzących, bierzemy w dobrej wierze za harmoniją w chwili odegrywaną. Są tacy, którzy pod urokiem tego złudzenia pozostaną przez całe życie, bo nigdy nie mają sposobności przypatrzenia się zbliska i dotykania sprężyn prawdziwego życia; ale ja dopuszczony od niedawnego czasu, bo dopiéro od dwóch

miesiący do znajomości ludzi rządzących publicznie i tajemnie losami tego kraju, a zatém i świata całego, zyskałem przekonanie, że czasy się zmieniają, i my się z nimi zmieniać winniśmy. Już tu oddawna wyrzekliśmy się owych starowiecznych, surowych, ostentacyjnych wyobrażeń w wielkiej nieugiętej enocie; już tu w Anglii wyprzedzającej pojmowaniem potrzeb dzisiejszej ludzkości o krok jeden przynajmniej, porzuciliśmy nawet wiarę w ową siłę i zręczność wojenną, wprzód tak skuteczną w przeprowadzaniu zamiarów politycznych, już to nawet nie wiele wierzymy w ową potęgę słowa, którą nasi O'Connele, Broughamy, Palmerstony a nawet D'Izraele biją i gniotą echa parlamentów i meetingów; ach tak! wielkie cnoty doprowadzają do domu zarobkowego, bohaterstwo do kalectwa, krasomówstwo do waryjacyi, a wszystko razem, niech mnie czarci biorą, doktorze kochani, do szalonych wysileń, najprzykrzejszych zawodów i do przedwczesnej śmierci. Tutaj wszystko co wielkie przeprowadza się mileczkiem, ciechutko, ładniutko, intryżkami; a kto mileczć umie i odezwać się od czasu do czasu dobrze

obmyślanym, krótkim, ciętym frazesikiem, kto jest giętkim jak wąż, ostrym i obosiecznym jak szpada, przytomnym jak powietrze, przenikliwym jak światło, podstępny jak pająk; ten, kochany doktorze prowadzi za nos nie tylko owych ludzi spartańskiej cnoty, normandzkiej waleczności i irlandzkiego gadulstwa, ale nawet całą literaturę codzienną, wszystkich pamflicistów i gazeciarzy, żyjących z odgadywania *tego*, co się wówczas tylko sprawdza, jeżeli się ludzie dowcipu, nie wyszepleniający się gadulstwem na obradach, z sobą się porozumieją.

— Młody synu Wielkiej Brytanii, przerywam ci mowę, nie obmawiaj kraju twojego, tak złe na świecie nie jest, a najmniej tutaj gdzie wszystko stoi wyraźną jawnością, siłą cnoty, mocy, waleczności i wymowy.

— Entuzjastyczny Anglomanie, — przerwie mi znów Sir Francis, — nie obwiniaj mnie o obmawianie narodowości naszej, ani o pesymizm, tylko pozwól mi dokończyć, chociażby dla tego, iżbym ci mógł dowieść, że nie na próżno uczyłem się przez dwa miesiące wymowy u najlepszego retora, któremu nawiasem powiedziałam.

wszy, płaciłem trzy funty sterlingów za jedno posiedzenie trwające dwie godzin. Czy nie widzisz, mój zacny doktorze, co się u nas od lat kilku wyradza z tego zamętu nowych żywiołów porządku i nieporządku wrzącego od czasu odzyskania sił po wojnach Napoleońskich. Pokój na zewnątrz ustalony, i nie można przewidzieć czy go coś jest w stanie zachwiać; tu i owdzie potykamy się wprawdzie z Indyjanami, Chińczykami i Hotentotami, ale ich zwalczamy naszymi pieniędzmi i krwią naszych najemników, a po każdej wojnie handel nasz nowe zyskuje siły, nasi zaś bohaterowie wojskowi zaszczytzeni orderem Łażni lub Ostu, i wyśmiani w czasopiśmie postępowych i żółciowych, nie wiedzą czy się mają cieszyć lub smucić z wygranej. Do tego przyszło, że oficerowie nasi wracając ze zwyciężkich wypraw, wstydzą się nosić mundur, gołą wąsą i starają się wyglądać jeszcze cywilniej jak nasi kupcy i tutkarze. Jednym słowem, tylko ta strona tryjmuje, która materyjalnie zyskuje, nie wystawiając się na rany i trudy. Że nasi szermierze parlamentowi nie wywierają wpływu w stosunku krzyku i zgiełku, którym rozbijają

mury, sklepienia niebios i gazety, to przecież aż za nadto jasno się wykazuje z losu agitatorów naszych, mianowicie z losu już przezemnie wymienionych mówców. Boksowanie wyszło zupełnie z mody od śmierci księcia Sussex, protektora bokserów, i tylko u motłochu cieszy się jakimś takim wzięciem; pojedynki są przez opinią publiczną potępione, wyśmiane i przez lepsze towarzystwo uważane jako dowód brutalstwa. Słowem, całe bohaterstwo uzasadnione na muskularnej sile i zręczności, wzięło jak najostateczniej w leb; stara rubaszna Anglija uznała potrzebę prawdziwej estetyki, i na tym gruncie lekkim, powabnym i szybko kwiaty wydającym, kształci swój rozum. Nie tylko angielski Mars, ale i angielski Merkury, przed kilkoma laty jeszcze tak nieubłagany surowy, garnie się pod skrzydła Apollina i Muz, i to z potulnością dobrze wychowanych owieczek. Wystaw sobie doktore, że ten sam syn Terpsychory, który mnie ćwiczy w wyższej choreografii, wyklada staremu kontradmirałowi Clapperton naukę i sztukę kontredansa i polki-mazurki. Taką zresztą koleją, Epaminondas uczył się przecież tańczyć, chociaż

był dzielnym bohaterem; nad nami panuje kobieta należąca rozumem do rzędu wyższych istot, kobieta posiadająca z prawa trzecią część władzy rządzenia rzeczywiście, siłą zabiegłości swojej większą połowę; siła intelligencyi i artystyzmu wzięła górę nad siłą brutalską mięśni i kości, i w widoku tego co się dzieje, ja surowy ale czujny i młody syn Kaledonii miałbym się opierać silnemu prądowi, który bieży naprzód i wywraca wszelkie przeszkody? Nie! nawróćmy się dopóki czas, dopóki pozostała giętkość młodociana w ciele, smagłość w pojęciach a siła w woli. A gdzież ją wyrobić jeżeli nie w obcowaniu ze sztukami pięknymi, dającymi wstęp do owjej poufalszej a zawsze przyzwyczajonej zażyłości z istotami, posiadającymi w najwyższym stopniu delikatność czucia i subtelność przenikliwości? a temi istotami, kochany doktorze są kobiety.

— Bogu dzięki! teraz cię rozumiem kochany Sir Francis, — przerywam baronetowi — teraz już odgaduję w jakiej krynicy czerpałeś tak długi szereg logicznych argumentów, dowodzących potrzeby wykwiatności, pod względem

moralnym i fizycznym. To nie własnych doświadczeń owoce, lecz raczej kwiatki wykwitłe w główce jakiej pięknej Egeryi, która się zajęła wykształceniem młodego baroneta Szkocyi.

* * *

— Dalibóg odgadłeś kochany mój przyjacielu, — rzecze Sir Francis, płonąć się, śmiejąc i zarazem w zwierciadło spozierając, — i cieszy mnie to żeś odgadł, bo mi tém ułatwiasz zwierzenie się. Tak, tobie wszystko powierzę, tobie jednemu, bo ty masz serce nietknięte sarkazmem, lubo odemnie starszy jesteś, bo ciebie przyrodzona poezycja broniła od zmrózenia się w tym angielskim klimacie, w którym tak prędko więdniję uczucia. Tak jest, znalazłem Egeryją, kształcicielkę, professorkę, przyjaciółkę, siostrę, której błogi wpływ obrócił w niwecz wszystkie moje żelazne wyobrażenia o dzielności męzkiej, zastosowanęj do potrzeb obecnego czasu. Opowiem ci wszystko, bo mi się serce rozplywa z radości.

— Razu pewnego, coś przed kilką tygodniami, zachodzę zupełnie przypadkiem do jednego

z naszych mniejszych teatrów, jest—to świątynia Muz w swym rodzaju jedyna, prawdziwie urządzona na wykształcenie smaku sfer wyższych towarzystwa; w niej bowiem grają nie tylko komedye w angielskim języku, ale i wodewille w francuzkim i operetki we włoskim, a nawet i balet tam przedstawiają. Nie często bywałem w teatrze, matka bowiem moja zawsze wierna purytanka, zawsze poważna i smutna, uważała że teatr jest zabawą płochą a nawet grzeszną, i wzbraniała mi chodzić na przedstawienia dramatyczne, publiczne i prywatne.

Więc jestem na przedstawieniu Łucyi z Lamermoru, a w roli Łucyi występuje młoda, zachwycająco piękna i tak szlachetnej gracyi śpiewaczka, że już sam jój widok bez pomocy czarującego śpiewu, wprowadził mnie w nigdy niedoświadczony zapał. Cała sala drżała od poklasków, łzy lały się strumieniami z oczu zimnych córek i synów Albijonu, ja zaś uniesiony szalełem, biłem tak mocno w ręce, i tak głośno krzychałem bravo! diva! ancora! żem oczy publiczności na siebie zwrócił.

— Wiedząc, iż ta sama śpiewaczka wystąpi

nazajutrz w téjże saméj roli, nająłem jedną z loż najbliższych sceny, i uzbrojony ogromnym bukietem pysznych kwiatów, czekałem na wystąpienie cudnéj istoty, jak na zbawienie duszy.

Ona występuje; ja biję w ręce, krzyczę jak opętany i rzucam jéj pod stopy bukiet umyślnie tak urządzony, że się rozplótl jak różnobarwna tęcza, i zasiał swém kwieciami całą scenę.

Spojrzenie z jéj czarnego dużego oka błysło na mnie balsamicznie, a nawet zdawało mi się, że dziewiczej czystości czoło cudnéj istoty zajaśniało lekkim jak błada róża rumieńcem. Ach! tyle talentu, piękności i niewinności razem! Wierz mi doktorze, dotychczas nie wierzyłem, że tyle darów przyrody i sztuki może się jednoczyć w jednéj tak młodej istocie, ale czasem natura się wysila i nadzwyczaj hojnie wyposaża swoich wybrańców.

I ja się pokryłem rumieńcem zachwyconia, coś w sercu mojem zadrgało, i od téj chwili nowa era życia dla mnie się rozpoczęła, już nie należałem do siebie, część mojej istności przelała się elektro-magnetycznym strumieniem w nią, w Divią.

W przekątnéj zaś łoży zajętej przez kilku fashionablów pierwszej mody, szmer podziwu i zazdrości ozwał się. Tak, zazdrościli mi owego spojrzenia, owego rumieńca! Dumny byłem z tryjumu mojego, i tak skłonny do dobrych uczynków, żem chciał pugilares swój nie źle napelnić banknotami, rzucić paradysowi huczącemu od poklasków: Wstrzymał mnie jedynie jakiś niewczesny wstyd, żałuję żem nie poszedł za pierwszym popędem duszy mojej.

Po pierwszym akcie, lokaj bogato galonowany wszedł na scenę, i zebrał w srebrny koszyk kwiaty rzucone przezemnie.

Gwineę owiniętą w pięciosuntową banknotę rzuciłem służącemu. On mi się pokłonił niezmiernie jak szambelan monarsze, i kurtyna zapadła. Ja zaś zatopiłem się w myślach i różowej barwy słodkich marzeniach, nie zważając na dwieście lornetek wymierzonych na mnie jak działa fortocy. Roskoszowałem się jak nigdy w życiu.

Ale żadnym innym nie obdarzyła mnie Diva spojrzeniem, podczas reszty reprezentacyi. Nie miałem jéj tego za złe, ona cała oddana

sztuce i tak młoda, niewinna, nieśmiała... jakże mogła myśleć długo o jednym ze swych tysięcy uwielbiaczy?

Gdy zaś kurtyna ostatecznie zapadła, kazałem sobie przez lożmajstra wskazać drzwi, któremi wychodzą aktorki. Długo czekałem, a ze mną kilka ekwipażów i kilku dżentelmanów różnego wieku. Pomniejsze koryfeuszki już odjechały; czeka jeszcze jeden ekwipaż, najokazalszy ze wszystkich, i jakiś jegomość średniego wieku, wojskowej miny, dumnego spojrzenia, przechadzający się z niecierpliwością przed kolumnadą artystek, i rzucający ukośnemi spojrzeniami na mnie w milczeniu oczekującego.

Jawi się Diva ze służącą i z damą starszego wieku, poznaję w niej dyrektorkę i współwłaścicielkę teatru.

Chciałem zbliżyć się do bogini mojej, podać jej ramię, mówić z nią jeśli by można, ale ów jegomość sadza obie damy i służącą do pojazdu, i spojrzawszy na mnie jeszcze raz z ukosa, wsiada z niemi i każe pędzić.

Zapominam, że mój pojazd oczekuje przy głównym wyjściu z teatru; wskakuję z tyłu za

pojazd śpiewaczki i jadę nie zważając na ulewny dészcz i zawieruchę, razem z moją boginią, szczęśliwy, że mnie tylko szczupła zapora odłącza od Edenu wszystkich największych szczęść i zachwyceń.

Staję przed bardzo pięknym domem na Redford Square; ów jegomość wypada z pojazdu, zsada Divę i jój pannę-służącą; dzwoni, otwiera drzwi, i żegna się głębokim ukłonem, zdejmując z największą czolobitnością kapelusz. Potém, znów wsiada do pojazdu, i pędzi dalej. Ja naturalnie zsiadłem z po za niego, nim ów jegomość do powozu wrócił, i w cieniu drzew oczekiwałem rozwiązania całej sprawy.

Przemokły, drżący z zimna ale uszczęśliwiony tém odkryciem mieszkania mego idealu, wracam do domu i dostaję djablój febry, nie wiem czy w skutek zimna, czy w skutek moralnego wstrząśnienia. Herbatę pilem przez całą noc, i list komponowałem wierszem do mojej *Divy*. W tym liście upewniłem ją, że we mnie ma zwolennika entuzjastycznego, wiernego i do wszelkich poświęceń gotowego, a zarazem ją uwiadomiłem, że na wszystkie jój przedstawie-

nia regularnie uczęszczać będę zawsze w tej samej łoży tuż nad orkiestrą na lewo; nareszcie wynurzając jęj w najtkliwszych wyrazach moje uwielbienie, dodałem, iż radbym sobie zasłużyć na zaszczyt bliższej znajomości z osobą tak wytworną talentami i urodą.

Posłałem ten list bezimienny, razem z przepysznyin bukietem do jęj mieszkania,

W tym samym dniu *ona* występowała w roli dla nięj samej utworzonęj. Śpiewała z nieporównaną duszą, z uczuciem porywającęm; cały teatr drżał od oklasków. Ubiór zaś jęj tak był malowniczym a jednak skromnym, zapiętyin, nie odsłaniającęm. Nic! ani razu nie spojrziała na mnie, a co mnie najwięcęj ujęło i zachwyciło, to *to*, że każdym razem kiedy się zbliżała pod moję łożę tuż blisko, jak z położenia wypadło, za każdym razem zalewała się po uszy rumieńcem, i drżała, *drżała* mówię ci doktorze. Ach ta młoda kobięta przechowała całą niewinność i zachwycającę naiwność uczucia, w tęm trudnęm powołaniu artystowskięm: jakież to niewyczerpany zasób poczeiwości i honoru musi być w tęj osobie.

Po skończeniu się sztuki, poszedłem czekać na nią pod portyk artystów. Ona wychodzi otulona w ogromny szal, a panna-służąca za nią. Czekala na nią doróżka. Wystaw sobie doktorze, tak byłem przejęty uczuciem uwielbienia, że nawet nie śmiałem pomóc jej do wsiadania.

Ale rzucam się w swój pojazd, i każę gnać za nią, potem ją prześcigam, jestem przed jej domem gdy ona przedeń zajeżdża. Wysadzam ją—cha! jej ramię jest w moim ręku. Ona na mnie spogląda okiem zdumiałem i drżąca ze strachu, nareszcie poznaje we mnie swego entuzyjastycznego ubóstwacza, wyrwa swą rękę z mej ręki, i wbiega do domu. Ja jej mówię głosem drżącym ze wzruszenia:

— Pozwól przynajmniej o pani! żebym jutro mógł przyjść i zapytać się o zdrowie twoje, bo ta rola, którą tak doskonale odegrałaś jest nadzwyczajnie męczącą.

Ona odpowiada mi zimno i pogardliwie:

— Prawdziwie nie wiem czemu mam przypisać te objawy tak żywe i nagłe współczucia, okazywane mi przez zupełnie obcego człowieka.

ka: jest to rzecz dziwna, a dla mnie, proszę temu wierzyć, nadzwyczaj nieprzyjemna.

I mówiąc to, weszła do domu swojego, służąca zaś zamknęła mi drzwi przed nosem.

Całą noc przepędziłem przed tym domem, pomimo bijącego nawałnie deszczu, pomimo zimna, wiatru i głodu. Dopiero o piątej godzinie rano wróciłem do domu, i posiliwszy się pięcią szklankami herbaty, napisałem do niej nowy list *proszę*, z podpisem moim, w którym jej podziękowałem za doświadczoną na przedstawieniu wczorajszém przyjemność. Do listu przyłączyłem bukiet, a do bukietu szpilkę szmaragdową zupełnie taką jaką na sobie noszę. Takie dwie szpilki kosztują dwieście pięćdziesiąt funtów sterlingów, to nie bagatela. Prosiłem o krótką audyjencyją dla mnie i dla mojego malarza; jadąc do Rzymu, pragnę wywieźć z Anglii portret najpiękniejszej kobiety, każę go złożyć moząjką w Watykanie.

Miss Celina Athetrith (to imię i nazwisko méj ubóstwionój), dopiero na drugi dzień odpowiada na mój list. Nie zezwala na zdjęcie portretu, ale mnie prosi do siebie na śniadanie, na

przyszłą Niedzielę. Zasięgala o mnie informacji, i dowiedziała się, „*że jestem dobrze wychowanym i dobrze prowadzącym się, bardzo jeszcze młodym i niedoświadczonym gentelmanem,*“ rzecz w swoim liście Miss Celina, więc zdaje jej się, że nic nie ryzykuje pozwalając mi być u siebie, zwłaszcza że mam opuścić Londyn.

Jeszcze całe pięć dni do téj Niedzieli; jakże tu przeżyć te pięć dni, a ona jak na złość żadnego dnia nie występuje. Ach przecież chociaż w Sobotę występuje, bo w Piątek nająłem pięćdziesięciu ludzi, i kazałem im krzyzczyć w teatrze: „*Prosimy aby Miss Celina jutro wystąpiła!*” Ja dałem hasło z méj loży, ale cały teatr ryknął jednogłośnie: *prosimy o Miss Celinę jutro!*“ Więc na powszechne żądanie występuje Miss Celina w Lindzie z Chamounix; szmaragdową szpilką przypina sobie jedną z rzuconych róż do boku. Boże! myślałem, że oszaleję; a jak śpiewa? jak gra naturalnie? dopiero w jej ustach włoski język brzmi w całej swéj niebiańskiej okazałości.

Czekam na nią przed teatrem, chcę ją odprowadzić. Ona się ukazuje, ale z jakąś wyso-

ką, bardzo dostojnie wyglądającą, nie młodą damą, z którą rozmawia bardzo przyjacielsko po francusku.

— Czemuż moja karetka nie zajechała Jaśminie?— spyta dostojna dama lokaja swojego.

— Już zajeżdża pani hrabino,— odpowie Jaśmin.

— Odwiozę cię do domu moja Celineczko,— rzecze hrabina do Divy, wsiada z nią do karety i jedzie ku Bedford Square.

Notabene na karecie były ogromne herby, a lokaj całkiem galonowany, w złotych szlifach i akselbantach; perukę miał pudrowaną ogromną, i kapelusz stósowany z galonem na głowie, w rękę zaś trzcinę wielką jak pastorał ze szczerozłotą galką.

Stangret podobnie był ubrany, również bogato i okazale, tylko kapelusz nosił inny z trzema rogami przyklapnięty, z potężnymi galonami i plumażem białym.

Spoglądając za tym arystokratycznym pojazdem, myślę sobie:

Jak poufale rozmawiała Miss Celina z tą bogatą magnatką, aktorki w Anglii nie dostępują

takiego zaszczytu, ale *ona* jest wyjątkiem pod każdym względem.

Owa Niedziela nadeszła nareszcie. Wiész doktorze, że w Anglii prosi się na pierwsze śniadanie na herbatę, tak jak wiem, że u was się zaprasza na drugie śniadanie na wódkę, przekąski, mięso, porter, wino i t. d.; na takie śniadanie idzie się o wpół do dziewiątej — najpóźniej.

Kogo znajduję u Celiny? ową dostojną damę, ową hrabinę. Ona ją nazywa *babką*, tamta tę tu zowie *wnuczką*, rozmawiają z sobą po francusku, widać, że stara i jednego słowa po angielsku nie umie; ale co mnie dziwi, to to, że Miss Celina przedstawiając mnie swój babce, nie wymienia jój nazwiska ani tytułu, tak, że ja *officyjalnie* nie obznajmiony z jój godnością, nazywać ją muszę po prostu Madame, nie dodając ani Comtesse ani Ladyship.

Przyjęto mnie w przedwstępnym salonie, ubranym w niezliczone mnóstwo wazonów i świeżych bukietów. Były to wczorajsze trofea młodej, świeżej Muzy, która cudnie wyglądała w swym bielutkim bogato haftowanym peignoirze, i w swych malutkich czerwonych złotem

haftowanych papuciach. Tutaj, огоłocona ze wszystkich uroków sceniczności, piękność jój jeszcze mi się wydawała więcéj wzruszająca: jój blade i nadzwyczaj delikatne lica, słodycz jój wzroku, nadobność jój ruchu, napęłniły mnie wzruszeniami najżywszój tkliwości.

Podczas śniadania rozmowa toczyła się w języku francuskim, stara hrabina bowiem ani słowa po angielsku nie mówiła, i nawet brzydziła się tym językiem, jak mi to bez wielkiéj ogródki poznać dawała.

Miss Celina kierowała rozmową, i żywiła ją w sposób, który wykazywał gruntowność jój wychowania, nie przelatywała od przedmiotu do przedmiotu jak motyl od kwiatka do kwiatka, lecz raczej jak pszczółka umiejąca korzyść wyciągnąć z miodu myśli. Ja się ceniłem szczęśliwym z tego, że przyjęty do zażyłości tak świetnéj artystki, mogłem się sycić jój dowcipem, talentem, wdziękiem i pięknością! Po piérwszy raz w życiu czułem się w położeniu za zdrości godném.

W tém zapukano na dole do drzwi domu:

służący wszedł i spytał się, czy ksiązę Saint Albans służyć może.

— Ach! aby nie dzisiaj moja wnuczko, ty nie pojmujesz jak mnie nudzi ten ksiązę Saint Albans,—rzecze stara hrabina.

— A mnie jak nudzi? znosiłam go jedynie dla babci, — powie z zachwycającą naturalnością Miss Celina, a potem doda: — Samuel! powiedz, że mi bardzo żal, ale, ale, wybieram się do kościoła, do hiszpańskiej kaplicy.

Potem zerwała się z nadzwyczajną żywością, i zbliżyła się do okna mówiąc:

— Ach! teraz sobie przypominam, ksiązę chciał mi pokazać swoją nową karetę, za którą zapłacił niesłychaną sumę dziewięćset funtów sterlingów, chciał mnie nawet zawieść do kościoła z babcią.

— Babcia ma swoją karetę, i nie potrzebuje się posługiwać obcemi ekwipażami, — rzecze hrabina z niewypowiedzianą dumą.

Potem jakoś po śniadaniu zgadało się o muzyce, i ja błagałem Miss Celinę, aby mi raczyła prześpiewać jedną z aryj, która wczoraj fetycznymi oklaskami, przyjęta była.

Zezwoliła, i poprosiła mnie z sobą do drugiego salonu. To prawdziwy przybytek młodej Muzy; duża, całkiem białym stukiem wyłożona sala, meble pokryte białym aksamitem, i dwa drogocenne zupełnie do siebie podobne fortepiany.

Gra tak pięknie jak śpiewa, jak mówi i jak chodzi. Wibracje tych długich białutkich palców i tych preludjów odgłosy, będą mnie czarowały wspomnieniami aż do końca życia.

Długo grała, i potem kilka razy śpiewała tkliwe lzy wyciskające pienia: zapomniała przy swym fortepianie, że obok niej siedzi gość nieumiejący ze wzruszenia przemówić jednego słowa.

Nareszcie jak gdyby się ze snu zerwała, obraca się do mnie i widzi lzy w oczach moich.

Obleliśmy się wspólnym rumieńcem.

— Ach przepraszam, przepraszam mój drogi Sir Francis, — rzecze miła Celina podając mi ręce, — ja zapomniałam, że pan tu jesteś, i wpadłam w swoje zwykłe melancholiczne usposobienia. Ale przejdźmy do drugiego fortepianu; na nim zagram panu i zaśpiewam coś weselszego.

— Ale cóż za pyszne piano! — rzekłem później w trakcie rozmowy, podziękowawszy najserdeczniej za prześliczny koncert.

— Nieprawda?..... to wspaniały dar mojej dobrej babci, ozdobniejsze są w Londynie, ale lepszych nie ma, patrz pan, *Pleyel*.

— Tak? to dar hrabiny?...

— Skąd pan wiesz, że ona jest hrabiną?— spyta ze struchlałą miną Celina, tłumiąc głos swój i odciągając mnie do najodleglejszego końca sali.

Opowiedziałem jakiej sceny byłem świadkiem wczoraj wieczorem pod teatrem.

— A to pan bardzo niebezpieczny człowiek, że mnie pan tak szpiegujesz, — rzecze Miss Celina z płaczem prawie.— Pan nie wie ile na tym zależy, żeby nikt nie wiedział, iż hrabina Montmorantin jest babką biednej aktorki teatru Olimpijskiego.

— Hrabina Montmorantin pani babka?...

— Tak jest, mój dobry Sir Francis, — odpowie żalonym głosem Miss Celina. — Dumna hrabina de Montmorantin, jest rodzoną matką rodzonej matki owjej biednej aktorki, która stoi

przed tobą. Ale to jest tajemnica bardzo małej liczbie osób wiadoma, oprócz mego lokaja i méj panny-służącój, nikt tutaj o tém nie wie; *tys* nieprawnie posiadał tę tajemnicę, na miłość Boga nie wydażę jój nikomu, a najmniej samój babce, postradałabym jój łaski na zawsze, bo to osoba nadzwyczaj dumna. Wystaw sobie, że własna moja matka nie wie, że jestem aktorką, i przysyłane jój przezemnie pieniądze, uważa za dary bogatych krewnych tu w Londynie mieszkających, *krewnych*, którzy mnie z taką pogardliwą dumą przyjęli, że wołałam się zaprzedać do teatru *takiej pani Vestris*, o której tyle złego gadają. Ha! przyznam się, że mną powodowała w chwili, gdy kontrakt podpisywała, nie tylko chęć przyjścia w pomoc méj biédnej matce i rodzinie, lecz także żądza zemsty. Sir Francis! ja się nie nazywam z famili *Athelrieth*, lecz inaczej, jeszcze świetniej, i wystawiam sobie jakie musi być zadziwienie, zmartwienie tych dumnych arystokratek, gdy ujrzą na scenie swą bliską krewnę! Ach! ale cóż ja tobie powierzam mój Sir Francis, jeszcze nikomu tego nie wyjawila; aleś ty posiadał trafem część téj tajemnicy, wiedz-

że więc i więcej; ufam ci, bom zasięgała wiadomości o tobie, wiem że masz narzeczoną bardzo ładną i dostojną pannę, i że się zapamiętałe w sobie kochacie; więc już nie ryzykuję, żebyś się we mnie pokochał, lub żebym się w tobie pokochała. Zresztą, wkrótce wyjeżdżasz do Rzymu, podobno nawet za dni kilka, może się już nigdy nie zobaczymy w życiu, ale chciałabym, żeby młodzieniec poklaskujący tak serdecznie mojemu miernemu talentowi, wyniósł wyobrażenie dobre o cnocie i charakterze biédnej dziewczyny, przywiedzionój nieszczęściem do tego *zawodu dramatycznego*, tak potępionego w wyższym świecie.

Łzy jak perły stanęły w oczach biédnej Celiny, gdy tych słów domawiała; byłbym się rzucił przed nią na kolana, ale ona widząc mnie wzruszonym, pobiegła do fortepianu i zagrzmiała jakąś wściekłą brawurę, od której aż okna zatętniały. Ach! jak wymowny odgłos jój cierpień i uczuć wrzających w tém szlachetném i zarazem ognistém sercu!

Chwile uciekały za nadto szybko w towarzystwie téj lubéj istoty, byłbym pfacił gwineami

każdą minutę upływającą tak prędko, ale hrabina ciągle patrzyła na zegar, nie wypadło pozostawać dłużej, wstałem, wziąłem kapelusz, i chcąc przedłużyć chociaż na chwileczkę rozmowę, ponowiłem prośbę o zdjęcie portretu, który chciałem kazać wyrobić mozajką jak będę w Rzymie.

— Sir Francis! z tego żadnym sposobem nie być nie może,—odpowie podając mi rączkę Miss Celina.

— Czy wolno znać przyczyny téj nieubłaganéj niemożności, Miss Celino?

— Nie pojmujesz ich jeszcze Sir Francis? Ty wyjeżdżasz za dni kilka, babka moja zabawi tu jeszcze w Londynie tygodni kilka, i ona pod żadnym warunkiem nie zezwoli na zdjęcie portretu mojego, nie chce żeby był upowszechnionym portret jéj wnuczki prezentującéj się na deskach teatralnych *mottochowi*. Ja także dotychczas nie chciałam na to zezwolić, oparłam się w tym względzie każdéj prośbie i każdéj propozycji pieniężnéj, nie raz dosyć kuszącéj, przyznać się muszę. Babka moja obmyśliwa sposo-

by uwolnienia mnie od zaciągniętych względem dyrekcji obowiązków, to rzecz nie łatwa....

— Dla tak dostojnej, i jak się zdaje bogatej damy, to nie byłoby tak trudnym zadaniem.

— Ugodziłam się na sześć lat po tysiąc funtów sterlingów rocznie, przytém na rok jeden benefis, dwadzieścia pięć funtów za każde wystąpienie i miesiąc wakacyj.

— To dość korzystne warunki Miss Celino.

— Ale sześć tysięcy funtów sterlingów zapłaty i miesiąc cały przymusowych występów w razie wypowiedzenia kontraktu: kontrakt zrobiony przed notaryjuszem, i *prise de corps* w razie niedotrzymania; to okropnie ciężące warunki mój dobry Sir Francis!

— To za nadto uciążliwe warunki, sto pięćdziesiąt tysięcy franków? jak mogłaś przystać na to?

— Ale nędza w domu, matka i pięcioro rodzeństwa?

— Sto pięćdziesiąt tysięcy franków, i na to zdobyć się nie może babka twoja Miss Celino?

— Ma pięćdziesiąt tysięcy dożywocia, żu-

dnego *zdaje się* majątku, zaledwie sama utrzymać się zdola w hrabiowskim tonie, ale chce się starać u mojego stryja bogatego hrabi de Montmorantin o kapitał potrzebny na wykupienie mnie z tego uciążliwego jarzma. Ja i temu się opieram; czémże będę potóm? na lasce krewnych pozostającą wysokiego rodu, a żadnej fortuny panną. Będą mnie obwozili po balach, prezentowali, chwalili mnie z talentu, z piękności nawet, a talent i piękność w osobie nieożywianej nadzieją i samoistności poczuciem, jest jak ów kapitał zakopany w ziemi, który i nie procentuje i jeszcze śniedziejac traci coraz więcej ze swój wartości. Bądź zdrów dobry Sir Francis, bądź zdrów, jedź w dalekie kraje, obraz aktorki powinien wyszumić ze szlachetnej pamięci wiernego narzeczo nego, pocóż ten obraz miałbyś wozic z sobą gdzieś w kufrach?

Tyle było uczucia w jój mowie, do mnie nikt jeszcze tak nie przemawiał. W bieli ubrana, śliczna i piękna, pełna palającego ognia dla sztuki i dla tych, których karmila pracą swoją, wznoszącą smak w brutalskim narodzie, tylko zarobkowi i instynktom materyjalnym oddanemu. Bo-

że! czyż ta dziewczyna nie była godną ubóstwienia.

— Im więcej cię znam Miss Celino, tym trudniej mi jest odstąpić od prośby mojej; ja czuję w głębi serca, że nie mógłbym się obejść bez twojego obrazu pod żadnym względem, nasadzę w teatrze dwudziestu najlepszych malarzy londyńskich, i każdemu każę cię malować lub rysować: jeden przynajmniej musi się udać, albo ze wszystkich zrobi się potem jeden dobry.

— Upartym jesteś mój młody przyjacielu, — odpowie Miss Celina rumieniąc się cokolwiek z gniewu; — słuchaj! ja mam daguerotyp zrobiony w przeszłym roku w Paryżu, poświęcę go dla ciebie, przyślę ci go jutro w południe przez mojego służącego Samuela. Teraz bądź zdrów.

— Ale przed odjazdem mogę być jeszcze raz jeden?

— Raz jeden, ale nie więcej, moja babka nie lubi, żeby kto przychodził, i ciągle mnie pilnuje.

Nazajutrz ogromny Samuel przyniósł mi da-

guerotyp Celiny, oprawny w szczerozłote turkusikami wysadzone ramki. Ucieszony, dałem drągalowi pięć suwerenów i kazałem mu wypić z moim *szczupakiem* butelkę kseresu i dwie portwejnu.

Potém, przyznam się, cokolwieczek go wybadywałem; służył w domu rodziców Celiny od lat trzydziestu, zna ją od urodzenia, lepszej nie widział istoty na świecie, sama cuota i dobroć. Ojciec Celiny był baronetem i pułkownikiem gwardyi, ale w pojedynku zabił generała swego, musiał uciekać, tułał się po Europie, majątek stracił przez grę i nierząd, umarł w Montpellier, gdzie pozostała matka Celiny i pięcioro rodzeństwa bez sposobu do życia. Bogaci krewni podupadłych ludzi, wszędzie bardzo nieużyci; Miss Celina z natury dumna, wolała pod zmyśloném nazwiskiem pracować na utrzymanie matki i wychowanie braci, posyła matce dziesięć tysięcy franków na rok, reszta zaledwie wystarcza na utrzymanie domu na nadzwyczaj skromnej stopie, bo samego komornego płaci się ośm tysięcy franków, a toaleta bardzo wiele kosztuje. Ani słowa, Miss Celina, płacona lepiej

od generała-lejtnanta angielskiego bardzo jest uboga.

Otóż doktorze, w parę dni potém hrabina wyjechała do Francyi, bo coś nadzwyczajnego zaskoczyło; a ja zostałem wychowańcem pięknój panny Celiny, pobieram od niéj codziennie lekcye śpiewu i muzyki, kształcę się w towarzystwie téj lubéj, najmilszą estetyką przesiąktéj osoby, i daleko więcéj znajduję żywiołu w lotnym dowcipie młodéj aktorki, jak w ciężkim rozumie członków parlamentu, obradujących o losach kraju, Europy i świata. Czuje się szczęśliwym, jak się nigdy nie czulem, dnie schodzą mi jak chwile, i gdy sobie wspomnę że tak długo i mozolnie kształciłem się na wzorach spartanizmu szkockiego, wówczas mi żal tego czasu i tych mozolnych wysileń, które nie nauczają mnie nic prawdziwie praktycznego, pozbawiły mnie owéj giętkości umysłu dzisiaj niezbędnej. Więc porzuciłem szermierstwo, wraz z parlamentarnemi wykrzyknikami, stałem się Ateńczykiem, w estetyce czerpiącym zasoby życia, umu i rozkoszy, i jestem sobie teraz dzisiejszym człowiekiem, ożyłem, ale przenikliwym, giętkim,

zręcznym, nie wysilającym się jak gladyjator na zdobycie sławy w boksowaniu, lecz umiejący się z całego serca cieszyć sławą w salonach, między arbitrami losu naszego, kobietami zdobytą. A wszystko to, ową zręczność, ową przytomność umysłu, owe maniere, którym nic oprzeć się nie może, zawdzięczam owój cudownej dziewczynie, którą znalazłem na deskach teatralnych, a która warta siedzieć na tronie. Cóż ty na to doktorze? czy nie jesteś mojego zdania? przecież ją zapewne nie raz widziałeś? podziwiałeś? a z tego co ci o niej opowiadam przekonywasz się jak piękna dusza przebywa w tém śliczném, zdrowém, niewinném ciele.

— Bodajbyś się nie mylił mój kochany Sir Francis, — odpowiedziałem nareszcie zasmucony opowiadaniem baroneta i jego manierami wyłamanemi na fireykowatą stopę salonów; — bodajbyś się nie mylił i nie żałował, żeś dla aktorki zmienił tryb życia, sposób myślenia, wiarę filozoficzną. Nie widzę wcale w Miss Celinie takiego feniksa, godnego chlubić się podobnemi cudami. Nie mogę sądzić o jéj ukształceniu umysłowém, bom z nią nigdy nie rozmawiał,

ale mniemam, że i na to przez kalejdoskop rozgrzanęj młodzieńczej wyobraźni spoglądasz. Ładna, bo ładna, i świeża i gracka, to ani słowa, ależ nie braknie ładnych a nawet prześlicznych w Londynie; gra nie źle, zachwyca naturalnością, ale śpiewa tak! bardzo dobrze swoim małym sopranikiem, głosikiem skazanym na roztrącanie echa teatrów drugiego rzędu.

Na to się zerwał Sir Francis jak sprężyna i krzyknął.

— Ach! widzę że się najzupełniej nie znasz na śpiewie, nie spostrzegasz tego, że ona umyślnie tłumić musi swój głos, żeby się nie wydał krzykliwym w tak ciasnych obszarach jak jest teatr Olympu. Ale żebyś ją był słyszał w Oratoryjum w ogromnym kościele Ś-go Pawła? Cha! byłbyś dopiero powiedział, że tak świeżego i mocnego głosu nikt nie ma prócz może Julii Grisi i Jenny Lind. Nie! na śpiewie się nie znasz kochany doktorze, na aktorkach także nie wiele, może nawet i na kobietach się nie znasz. Cha! cha! cha! małe sopranik, skazany na budzenie echa teatrów drugiego rzędu?

Niechże cię doktorze kaczkę zdepcą, och! nie będę z tobą nigdy gadał o Celinie.

— Sir Francis, na miłość Boga! strzeż się, zanadto się zajmujesz tą osobą. Przypomnij sobie co Gil Blas mówił o aktorkach: wielka lub mała, mądra lub głupia, piękna lub brzydka, brunetka czy blondynka, aktorka jest istotą pokuszenia, zdrady, zguby, i powinna wzbudzać obawę.

— Bądź zdrow uudny moralisto, biegnę do mojej Miss Celiny; obmyć sobie jej widokiem uszy skalane twemi słowami, — krzyknie i wypada na ulicę, nie podawszy mi ręki.

A ja sobie pomyślałem: — wszędzie są wyjątki, nawet pomiędzy aniołami, ale sama miła Jenny Vertpré, także aktorka, mówi o aktorkach: — pour les filles de Thalie sagesse est un poison, — a ja wierzę dobrej Vertpré, która zabrawszy w bardzo różny i dość rozmaity sposób spory majątek, zapisała go na szpital i została siostrą miłosierdzia. Ha! miała wtenczas lat około pięćdziesięciu; Miss Celina tego nie zrobi, ale poprowadzić może entuzyastycznego baroneta do domu obłąkanych, to rzecz pewna

i że chwalić się później będzie tryumfem, i to możliwe, bo nie raz slyszalem jak się aktorki chlubiły ze swych ofiar, które zginęły w pojedynku, które sobie w leb strzeliły lub zwaryjowały, lub téż w szpitalu lub w więzieniu zakończyły życie.

* * *

Już się nie jawi u mnie Sir Francis; i nie znajduję go nigdy w domu, w którym Szczupak siedzi z zasępiąłą miną, i żali się na zażyłość tego pana z owym starym dragalem Samuellem, lokajem téj aktorki. Szczupak utrzymuje, że baronet czasami całą godzinę z tym lokajem przegada, wypytując go się o najdrobniejsze szczegóły życia Miss Celiny, o zamki jój matki, i pułki jój ojca.

— Dalibóg, już mnie zaczyna być wstyd za takiego pana, godności swojej utrzymać nie umiejącego; jak to można wchodzić w pogadanki z takimi nizeczennemi istotami jak my, służący?! — rzeknie sagas spluwając.

Alem go spotkał raz na Regents Kwadrancie coś w trzy tygodnie po naszój rozmowie, w któ-

rój przekonać mnie chciał na zasadzie estetyki, że spartanizm jest śmieszną karykaturą, i nic więcej.

— Cha widzisz! powiadasz, że Celina ma małą głosinę, *un piccolo soprano di pachetta*, otóż patrz, powołują ją na primadonnę do opery San Carlo, z roczną płacą sześćdziesiąt tysięcy liwrów i trzema benefisami; przytém trzy miesiące wakacyj i wolność zbierania wawrzyńców w całej Europie. Aha! drobnutki głosik — czytaj, czytaj.

I wręczył mi list. Ani słowa, podpis dyrektora Opery, księcia de Barberini, byłego ministra neapolitańskiego, który został dyrektorem Opery z miłości dla śpiewu i wszystkich sztuk pięknych, wyższych i niższych.

— A cóż, ma głos? czy tóż tylko malutki, kieszonkowy sopraniczek? — spyta Sir Francis wyglądając tryumfująco.

— Ani słowa, musi go mieć więcej niżem go słyszał, kiedy ją powołują do Neapolu. Więc jedzie? jedzie? ale tutaj jest zaangażowaną na lat sześć; sto pięćdziesiąt tysięcy franków wynagrodzenia w razie złamania zawartej umowy ...

oto sęk! Skąd ona weźmie tyle pieniędzy? ona podobno złamanego grosza nie ma.

— Skąd weźmie tyle pieniędzy? albożto nie ma przyjaciela we mnie? Pożyczam jój te biędne sześć tysięcy funtów sterlingów, najdalej za dwa lata będzie mi je mogła zwrócić, ona swym talentem milijon funtów sterlingów zapracuje jak nic, i ręczę, że za jakiego udzielnego księcia wyjdzie, to jest, jeśli kto będzie w stanie zyskać to serce, już *innemu* całkowicie oddane. Bądź zdrów doktorze, właśnie się uganiam za pieniędzmi, z wielką mi to przychodzi trudnością wy dostać tę nędzną kwotkę, bo ja to właściwie jeszcze testamentem nieboszczyka ojca jestem skazany na dźwiganie jarzma opieki aż do końca dwudziestego czwartego roku, i właściwie jeszcze nie nie posiadam. Ale, trzeba się udać do lichwiarzy, i zrobi się interes.

— Sir Francis, zabrniesz w okropne długi, wcale mi się nie podoba to pożyczanie tak wielkiego kapitału. Nie zapominaj że masz matkę i narzeczoną; już coś napomykasz o jój *sercu całkowicie komuś oddaném*; zlituj się na miłość Bo-

ga, serce aktorki, kiedy właśnie warunkiem bytu i szczęścia tych osób...

— Może mieć serce, i daleko lepsze i większe od serca ludzi przesądnych, — odpowie cierpko baronet, i pędzi w swoją drogę do jakiegoś lichwiarza, któremu za ośm tysięcy funtów sterlingów zobowiązał się zapłacić dwanaście tysięcy za czternaście miesięcy, skoro dojdzie do pełnoletności.

* * *

Znów go nie widać z jakie dziesięć dni, aż nareszcie jednego rana przybiega do mnie Pike, służący jego.

— Nie trać pan ani jednej chwili, tylko pan bież ze mną do Sir Francisa, którego przed ćwierć godziną przywieziono do domu złupionego, na miazgę zboksowanego, i jeszcze do tego ranionego w pojedynku kulą pistoletową, która dotąd pozostaje w prawém ramieniu. Samuel Bembou, służący owój aktorki Miss Atelriecht go przywiózł, i czekać u niego będzie aż pan nadejdzie. On leży jak półumarty, i ustawicznie pana przyzywa; ha! pan mu dobrze radził, on

zaś słuchać nie chciał, teraz się doigrał: okropnie wygląda, dawnom już nie widział tak zbitego człowieka.

Nie straciłem ani chwili, jestem w mieszkaniu baroneta, w którego przedpokoju siedział Samuel Bembou, służący Miss Celiny z palającą twarzą, spijając sobie portwajny z trudną do uwierzenia brutalską obojętnością.

— Kto? co i jak?—spytam się tego dragala?

— On panu wszystko sam opowie, powolnym czasem jeśli nie umrze, rozumie się, — odrzeczcie służący, i kiwnąwszy głową odchodzi.

Biędny baronet okropnie wyglądał: jego szlachetna twarz pokryta była sińcami, trzy zęby miał wybite z przodu, oczy krwią zaszele, ramię chustkami przewiązane, i suknie zbroczone także krwią, a leżał na szesłagu milcząc, wzdychając i smutnie kiwając głową.

— Doktorze! ból głowy najokropniejszy, gorączka, pragnienie, krew jeszcze uchodzi z rany, widzisz, nawet przesiąka ten bandaż; daj sobie sam radę bez pomocy chirurga i cyrulika, bo przedewszystkiém żadnego rozgłosu: honor!

honor! przynajmniej ocal; biedna moja matka! biedna narzeczona! ach! tyś wszystko przewidywał, nie dobrze zmieniać tak nagle sposób myślenia; przekłeta aktorka, Celina jest potworem, nie widziałem podobnego w życiu swoim.

— Przedewszystkiém nie mów nic Sir Francisie, i zezwól na puszczenie krwi, ogolenie głowy, przystawienie baniek i pijawek, — radzę biednemu młodzieńcowi.

— Na wszystko zezwalam, bo pałam żądzą zemsty, i chcę żyć dla niej tylko, ale koniecznie żyć chcę dla niej tylko.

Baronet zaczął majaczyć, nawet w szal wpadać. Obawiałem się tetanosa; kazałem ogolić głowę, krew puścić, bańki i pijawki postawić, odwiązałem tymczasowy bandaż, arteryją ramienną podwiązać musiałem, kulę splaszczoną na kości wyjąć: nareszcie obwiązawszy ranę, przyłożywszy pęcherz z lodem do głowy i do rany, uzyskałem spokojność dla biednego ranego.

Przez cały tydzień pozostawał w najwię-

kszém niebezpieczeństwie, i jak tylko chwila-
mi przychodził do przytomności, to spoglądał
w około siebie, czy jakiej obcej nie ma osoby,
w najczulszych mnie błagał wyrażeniach, abym
nikogo nie przybierał do pomocy, ani nie przy-
puszczał do tajemnicy. Studzy, nadzwyczaj wier-
ni swemu panu jak to nie rzadko w Anglii, tak-
że sumiennie strzegli tajemnicy, bo ich o to pro-
sił Sir Francis zaraz po swym powrocie do domu
z jakiejś nieprzewidzianej i nieprzepowiedzianej
wyprawy, trwającej tylko dwadzieścia cztery
godzin, a tak jednakże płodnej w przygody.

Nie opuszczałem go ani na chwilę, i z nie-
małym dowiedziałem się zgorzeniem, że Miss
Celina, która codziennie przysyłała służącego
swojego pytać się o zdrowie Sir Francisca, wy-
stępowała jednakże prawie co wieczór w jak
najkomiczniejszych operach Verdego, i sumien-
nie się ubiegala o poklaski publiczności.

Komedyjantka nie ma uczucia, przynajmniej
w Anglii, komedyjantka może zdobywaniem ta-
twości udawania wszystkich uczuć, tracić jego
rzeczywistość, pali kosztowny obraz dla otrzy-

mania z niego popiołu, poświęca swoje sumienie dla otrzymania poklasków.

* * *

Cały tydzień upłynął w niepewności życia dla biednego baroneta; drugi upłynął w srogich boleściach, trzeci w wycieńczającej gorączce, czwarty i piąty w litość wzbudzającym osłabieniu; tymczasem, coś w czwartym tygodniu jego choroby, przedstawienia w teatrze Olimpu ustały, i dowiedziano się, że jego dyrektorka zbankrutowawszy wyjechała tajemnie z panną Celiną i z kilkunastu lepszymi aktorkami i *aktorami aż do Ameryki Północnej do Nowego Yorku*. I Samuel wyjechał z panią swoją. W Olimpie pozostały tylko chóry, komparsy, corps de ballet, ludzie z orkiestry, z maszyneryi i inni mniejsi półbożkowie, których w obecnym stanie oświaty w każdym miejscu, do którego dochodzi światło nauki i sztuki, bardzo łatwo zastąpić.

Pani Vestris zapomniała tych biédaków zaspokoić, i teraz są do żebractwa przywiedzeni, muszą po prostu ręce wyciągać. Doszły nawet do Ameryki jęki tych nieszczęsnych, ale już się

zimni republikanie zachwycają boską Celina, już się zaprzęgają w całym znaczeniu tego słowa jak konie do jej tryumfalnego wozu; wszystkie jęki boleści ucichły przy tych entuzjastycznych okrzykach. Już nawet o tym mówią, że Miss Celina Atelrieth, idzie za jakiegoś ogromnie bogatego bankiera w Nowym Yorku.

Ale do tego nie przyjdzie, chociażby tylko dla tego, że Miss Celina Atelrieth jest, i to już od dwóch lat, żoną pana Samuela Moppsa, mniemanego sługi swojego, dawnego *klowna* angielskiego, który podróżując przed kilkunastą laty w Hiszpanii dla dawania przedstawień herkulesowskich, kupił tam od umierających z głodu cyganów jakieś zapewne skradzione dziecko świętej urody, lubo strasznie zbiédzone i brudne, i swym kosztem jak najstaranniej we Włoszech, we Francyi i w Anglii wychowywał na aktorkę i na żonę swoją.

Udało mu się prześlicznie: cygańskie dziecko, nie znające nigdy ani ojca, ani matki, wyrosło na Precyjozę najlepszego gustu, zostało żoną swego opiekuna, udającego przy niej służącego, i służyło mu i pani Vestris na durzenie la-

twowiernej i niedoświadczonej młodzieży angielskiej.

Baśniami były owe historyje o babce hrabini Montmorantin, o przyjacielu księciu Saint Albans, o powołaniu na primadonnę do Neapolu przez księcia Barberiniego. Wszystko to komedya ułożona umyślnie na złowienie serca, a następnie i pieniędzy entuzjastycznego baroneta. Pani Vestris sama raczyła przedstawiać babcię hrabinę, kochany zaś pan Samuel Mopps przedstawiał kolejno i księcia Saint Albans zajeżdżającego w pożyczanej karecie, i fagasa spijającego się tak dobrodusznie ze szczupakiem baroneta, plecaącego tyle ładnych bajeczek o nieboszczyku ojeu Celiny i o jej biędnej matce, z rodu hrabiance.

Ale jakim sposobem, przy jakiej okoliczności, dzięki jakiemu podstępowi lub jakiej *chwili zobopólnego zapomnienia* Sir Francis przyszedł do kulaków, wprawną pięścią tak serdecznie wydzielonych, a oraz i do postrzału w ramię,— tego właściwie sam dobrze nie wiem; to jednakże mogę zaręczyć, że zazdrosny a dobrze w boksy i w strzelanie wprawny *klown* poczęstował

estetycznego baroneta w chwili gniewu jedném, a w chwili wymaganego zadosyć uczynienia drugim. I to wiem, że on go przywiózł do domu w najniełitościwszy sposób odartego, spowiewieranego i rannego, i że się dopytywał o jego drogie zdrowie najstaranniej codziennie przez całe trzy tygodnie, wypijając przytém po butelce dobrej portwajnu ze Szczupakiem. A potém, gdy się przekonał, że baronet nie umrze, lecz że wraca do zdrowia, namówił panią Vestris do bankructwa i uciekł ze zdobyczą, z wawrzymami i z lubą żonką do Ameryki.

Nie ścigał go Sir Francis, lecz zniewolony mojemu prośbami, wrócił do Szkocyi i do spartańskiego życia, i ożenił się coś w rok potém z kuzynką swoją.

Zajście zaś to całe nie miało żadnego rezgłosu, pozbawiło tylko baroneta trzech zębów, tyleż kroć sto tysięcy franków, władzy w ramieniu na pół roku, i zbytniego ulubienia w artyzmie.

Tę zaś historyją opisałem nie dla tych, co siedzą w naszym poczciwym kraju, w którym nie podobnego z wielu bardzo przyczyn, a zwła-

szcza z przyczyn moralności naszych córek Tallii, Melpomeny i Terpsychory, wydarzyć się nie może; lecz ją spisuję dla tych, co to podróżują po obcych krajach, i łakną wrażeń, których u nas doznać nie można.

ROZDZIAŁ IV.

Suchotnica.

(Z opowiadania lekarza angielskiego.)

Dla duszy bogobojnej, która pragnie wtajemniczyć się w zamiary Boga, nie ma godniejszego zastanowienia się przedmiotem, dosyć zwyczajnego niestety w kronikach medycyny w Europie, a mianowicie w Anglii, nad suchoty. Choroba straszna, która oszczędza występki, nie karze rozpusty, lecz której ofiarami są: młodość, piękność i cnota. Pewnym być można, że istota nacechowana jej nieszczęsnym piętnem, nie ma w sobie nic pospolitego. Umysły rozwinięte przedwcześnie, dusze szlachetne i wzniosłe, cha-

raktery łagodne, podlegają téj strasznej pladze, która je wyrywa z upodobaniem, nawet z pewnością, stałem i nienasyconém okrucieństwem.

Ilećroć razy zastanawiałem się nad ofiarami téj plagi, zawsze ponure myśli obudzały się w méj duszy. Cbrześcijanie wielką wyznają prawdę, że „Sprawiedliwość nie jest z tego świata.“ Szatanie zniszczenia, pytałem wówczas, czemu ofiarami twemi nie mogą być zgrzybiałość lub występki; skąd ta potężna przebiegłość twoja, która niweczy całe wysilenie sztuki, całe doświadczenie tylu wieków. Dla czego właśnie te istoty, które Stwórca hojnie obdarzył przymiotami umysłu, silniejszém natchnął uczuciem miłości, zimny twój miecz uderza bez względu. Kiedy się objawiasz, jest zawsze za późno, nacechowana przez ciebie ofiara, jest na śmierć wskazana poprzednio.

Nie trudném byłoby zadaniem, na następstwach naturalnych téj choroby, usnuć jaki roman tragiczny, któren, zwłaszcza pod piórem utalentowanego pisarza, nabrałby dostatecznego dla czytelników zajęcia; nie ten atoli jest cel mój, w krótkości przedstawię tutaj jeden przebieg téj

choroby, na który miałem sposobność zapatrywać się. W licznym szeregu przykładów wybiorę ten właśnie, którego najmniej przedstawia okoliczności dziwnych i romantycznych. Nie mam bowiem zamiaru układać dramatu dla zabawienia próżniaków.

Dziesiąty rok życia zaczynała Miss Herbert, kiedy została sierotą; jej ojciec i matka umierając przedwcześnie, polecili swe dziecię opiece podeszłemu baronetowi, stryjowi sieroty, a którego łagodny i szlachetny charakter, zdawał się przedstawiać wszystkie rękojmie przyszłego jej szczęścia.

Zdradzona pierwsza miłość, zostawiła w duszy stryja, głębokie i niezatarte na przyszłość wrażenie, postanowił nie wchodzić w związki małżeńskie powtórnie. Majątek jego uszczuplony niezmiernie rozrzutnością ojca, nie wystarczałby na utrzymanie ani stanowiska, ani tytułu jakie posiadał, gdyby nie wpływy bliskiego krewnego, którego mu wyrobił nader korzystną w Indiach posiadłość. Wiadomo, że to jest powszechny ratunek zbankrutowanych majątków, i dzięki dziwnym i tylko polityce Wielkiej Bry-

tanii właściwym urządzeniom, najpiękniejszy obszar ziemi na świecie Hindostan, jest dzisiaj tylko rozległym szpitalem dla zrujnowanych rodzin trzech królestw.

Konieczny ten środek nie przypadł jednak do serca stryjowi, odkąd stał się ojcem dla Miss Herbert. On ją pokochał z całą żywością i energią duszy, która się nie kalala w poziomych rokoszach życia, i przechowała całą młodość i świeżość swych uczuć.

Jego szczęście, jego nadzieje, skoncentrowały się w osobie biednej sieroty. To przywiązanie wy pływało zarazem z jego upodobania i obowiązku, z poświęcenia się i współczucia. Myśl pozostawienia saméj w Anglii, wystawienia jéj na wszelkie przypadki życia, zdała od swego jedyne go obrońcy, dręczyła go niezmiernie; z drugie j znowu strony, klimat Indyj i zgubny wpływ jego na Europejczyków, mianowicie kompleksyi delikatnéj, przejmował go obawa. Nie miał dostatecznego zaufania w żadnym z licznych pensjonatów naukowych, którymi chlubi się Wielka Brytania, postanowił więc zabrać ze sobą młodą sierotę.

Nie mając jeszcze jedenastu lat skończonych, Eliza, takie było jój imię, znajdowała się w Kalkucie. Niby latorośl wątła i delikatna, wystawiona na żar plomienistego słońca i zgubne wpływy zabójczego klimatu.

Nie tyle piękność, ile regularność kształtów i rysów odznaczały szczególnie Elizę; w chwili, w której ją poznałem, mogłaby służyć za typ wieku dziecięcego.

Istota pełna świeżości, lecz zarazem wątła, którą zdawało się, że najmniejszy powiew wiatru uniesie, i która zaledwo ziemi dotykała swojemi stopami. Rozmawiając z nią, doznawałeś pewnego rodzaju obawy, aby głośniejszym tonem lub ruchem jakim porywczym, nie urazić téj natury łagodnej i delikatnej.

Wszystkie uczucia, jak równie rysy Miss Herbert, zdawały się należeć do rzędu stworzeń mniej ziemskich, więcej idealnych niż u innych ludzi.

Tkanka jój skóry była cieńszą, i tworzyła półcienie przezroczyste, naksztalt zabarwionój porcelany, jój włosy były bardziej delikatne niż jedwab', a brwi jeszcze delikatniejsze, tworzyły

osłonę nad jęj niebieskimi oczyma, pełnemi niewypowiedzianęj słodyczy. Z obrazem Miss Herbert nie mogłęś łączyć żadnego wyobrażenia tchnącego namiętnością, zapalem lub energiją. Wszystko w nięj było wyszukanie delikatne, i gdyby była dluzęj żyła, niezawodnie burzliwe chwile ziemskiego życia byłyby ją złamały, jak wątłą łódkę uniesioną na wzburzone morskie fale.

Charakter jęj był zgodny z fizyjonomiją i usposobieniem jęj moralnëm; tło jego stanowiły łagodność, wdzięk, figlarność i skłonność do marzeń. W samotności największe znajdowała upodobanie, unikając wszelkięj wystawy, rozgłosu, ruchu; lecz i ta melancholija była umiarkowana, bo upodobanie do ustronnego życia było pełne wdzięku, tak jak wszystkie jęj wzruszenia.

Łagodny jęj umysł, szczęśliwa organizacyja, sprzyjały do rozwinięcia się w nięj weześnie znamienitych zdolności. Utwory fantazyi były jęj ulubionym przedmiotem, które czytała z zajęciem. Jednëm słowem, trudno sobie wyobrazić

w jednej osobie, tak anielskiej, tak ujmującej i odznaczającej się istoty, jaką była Miss Herbert.

Matka jej w dwudziestym roku życia umarła w skutku choroby piersiowej, a w sześć miesięcy później, tyfus pozbawił ją ojca. Sierota odziedziczyła słabą kompleksyjną swych rodziców, i dla tego, od samego urodzenia otoczona była wszelkimi staraniami, które przesadzone, jeszcze bardziej wpłynęły na rozwinięcie w niej słabej kompleksji, z jaką na ten świat przyszła.

Uczucie przyzwoitości panowało w jej duszy nad wszystkimi innymi uczuciami, i z tego względu sądzę, że trudno byłoby romansopisarzowi wziąć z niej model na jaką heroinę. Wszelką przesadę uważała za kłamstwo, i czuła względem niej nieprzepartą odrazę. Jasność myśli, bystrość poglądów i trafność spostrzeżeń, które nigdy nie były ze sobą w sprzeczności, znamienowały jej umysł. W sztukach pięknych mimo swojej młodości zajmowała ją tylko prawda, w życiu towarzyskim, szczerłość. Przebóg! z taką duszą czyż można długo istnieć na tym świecie.

Jeden zarys wzięty z jej życia, może dać

niejakie wyobrazenie o jój charakterze. Kiedy jeszcze malém była dzieckiem, stryj jój wprowadził ją do domu jednéj podeszłéj baronowéj, kobiety światowéj, która przesadzoną wymową starała się podnieść swe wdzięki, i okazać prawo do wyższości tonu. Zachwycona widokiem ładnego dziecka, które jój przedstawiono, zdobywała się na pochlebstwa, pochwały i wykrzykniki, które bardzo się nie podobały maléj dziewczynce.

— Nie chcę odwiedzać téj pani,— rzekła do swego stryja za powrotem do domu, ona kłamie, nazywała mnie bowiem aniołkiem i małą boginią; mój stryju, nie chodźmy już do niéj nigdy.

Nie wiem czy moi czytelnicy uznali równo ze mną tę przenikliwość w spostrzeżeniu, i to zamilowanie prawdy małego dziecka, które się objawiło w tych kilku wyrazach; roszkosz była patrzeć na tę szczerą prostotę i umysł przenikliwy, utrzymujące się w swéj mocy pośród wyszukanych zbytków i oznak czułości bez granic, któremi otaczana była Eliza.

Stryj, któren żył w odosobnieniu, i którego melancholija pełna poezyi z przymieszanemi nie-

co uczuciami mizantropii, tworzyła jego charakter, spoglądał z rokoszą, ale zarazem z niejaką obawą na dziecię, które pod jego okiem wzrastało. I im bardziej te chlubne przymioty w niej się rozwijały, tém większe czuł ku niej przywiązanie, lecz i trwoga żeby jój nie utracić powiększała się zarazem. Ta to trwoga była jedyném zmartwieniem Karola Herbert, którego powodem była Eliza.

— Ach! — odezwał się raz do mnie z głębokim westchnieniem. Ja jestem podobny do owego majtka w Tysiąc i jednéj nocy, któren cały swój skarb w wątléj ukrył barce; to biédne dziecię, ta istota tak słaba, zajmuje całą mą duszę, pochłania wszystkie moje myśli; gdybym ją utracił, wiesz doktorze, to dla mnie byłoby wszystko na świecie stracone. Bo i cóż mnie wiąże do tego świata, ani związki familijne, ani przyjaźni... znikąd nie mam się czego spodziewać, tylko ona, ona jedna. A jak widzisz, ona jest za piękna, za dobra dla tego świata. Niebo pożyczyło nam jój na pewien czas, ale jój nie darowało, i ile razy wieczorem przyglądam się jój pogrążonéj we śnie; zdaje mi się jakby nad jój piękną głową

krażyły posłańce nieba, oczekujący chwili w której mnie ją odebrać mają. Uczucia jakich doznaję z powodu tego dziecka, są dziwne mój doktorze, zdaje mi się nie raz, że ona jest tylko uludnym widmem nieba, które wkrótce uleci, a ja niestety nie mam prawa błagać niebios o dłuższy jej pobyt na ziemi. I w tej ciągłej obawie nadejścia tej strasznnej chwili, widzę że wówczas i moje życie byłoby stracone.

Przywiązanie stryja do swojej siostrzenicy, połączone z obawą jej utraty, wzrastało z dniem każdym; wkrótce podniosło się niejako do stopnia ubóstwienia. Po jednorocznym pobycie w Kalkucie, niespokojność o zdrowie i życie swjej siostrzenicy, tak się wzmożła i niepokoiła go, iż wolał opuścić nader korzystną posiadłość którą zajmował, aniżeli wystawiać na niepewność szczęście i życie Elizy. W rzeczy samej, pobyt w Indyjach jest grobem dla osób słabych piersi; w tym kraju, gdzie powietrze którym oddychasz jest palące, najmniejsze zarody dziedzicznej choroby piersiowej rozwijają się z gwałtowną szybkością.

Na nieszczęście, stan majątkowy był na prze-

szkodzie do jego powrotu do Anglii, i jeszcze cztery lata upłynąć miało, zanim wierzyciele ojca poznać mieli długi, którymi dobra Karola Herbert były obciążone. Napróżno błagał u swego rządu o jaką posadę chociażby nawet mniej korzystną, któraby go powołała do Anglii. Zawód, jakiego doznał w tym względzie, podkopał mocno jego siły fizyczne, i przyprowadził go do niemożności pełnienia powierzonych sobie obowiązków; zabierał się więc do powrotu do Anglii schorzały i ubogi, gdy dziwna wspaniałość jednego nababa (a) przywróciła mu majątek i nadzieję.

Był to serdeczny przyjaciel Sir Karola Herbert, któremu ten ostatni wyjawiał swoje zmartwienia i obawy względem stanu zdrowia swój siostrzenicy, jak równie usilne pragnienie powrotu do Anglii, dla wyrobienia tam dla siebie jakiej posady zaszczytnej zarazem i korzystnej. Pomimo wielkiego wpływu jaki posiadał u ludzi przy sterze władzy zostających, nabab oddany całkiem zmysłowości, żadnego nie uczynił sta-

(a) Nabab, przydomek dawany spanoszonym w Indjach anglikom.

rania dla poratowania swego przyjaciela. Nie miał on ani dzieci, ani żony; umierając, testamentem zapisał cały swój majątek, jeden z najpiękniejszych w Indyi Sir Karolowi Herbert i jego siostrzenicy do równego podziału, a w razie śmierci jednej ze stron, majątek miał przechodzić na pozostałą. Po otrzymaniu tego spadku, którego był czysty i w zupełnym porządku, Sir Karol spiesznie opuścił Indyje udając się do Anglii.

Jeszcze w czasie swojego pobytu w Indjach, niepokoili go często obawy względem zdrowia Elizy; wezwał więc rady doktora Charnej, jednego z najsłynniejszych w Kalkucie, opowiedział mu wszystkie szczegóły tyżące się urodzenia młodej dziewczyny, i swoje obawy jakie mu się w tym względzie nasuwały. Zwracał uwagę doktora na cerę purpurową, która występowała na jój białych policzkach, na delikatność niezwykłą, która ją odznaczała. Z polecenia jego doktor przychodził często na obiady, aby zabrawszy miejsce obok Miss Herbert, mógł dokładniej zbadać, czy niebezpieczeństwo zagraża jój zdrowiu.

Czy to lekkie traktowanie téj okoliczności, czy téż brak doświadczenia, wreszcie, czy choroba jeszcze nierozwinięta nie dozwoliła się wysledzić, dosyć, że doktor w ciągu swych spostrzeżeń nie odkrył żadnego symptomatu suchot. Spokojność wstąpiła na nowo w duszę Sir Karola, gdy go zapewnił doktor, że nie widzi żadnej skłonności do suchot w młodej dziewczynie, i że powróciwszy do Anglii, może się nawet długiego spodziewać życia.

Elizie dziwném się wydawało, że obcy człowiek do familii wcale nienależący, stał się nagle poufnym domownikiem; spoglądał na nią długo wzrokiem badającym, śledził jéj poruszenia, przysłuchiwał się jéj rozmowie, pośród żartów brał ją za puls i dawał jéj szczególniejsze zapytania co do jéj snu i zdrowia. Eliza obdarzona była niezwykłą przenikliwością umysłu, zwieść ją było rzeczą niepodobną, a niezręczne wzięcie się doktora, do reszty ją objaśniło. Zapytania bowiem czynione przez niego pokojowej Miss Herbert były jéj powtórzone. Od téj chwili, zrodziło się w niéj podejrzenie, że jest dotknięta chorobą niebezpieczną, i dla tego jest

pod dozorem tajnym doktora, którego obowiązkiem jest śledzić ją na każdym kroku. Jakieś uczucie, ścieśnienia, obawy, niepokoju, oswładnęło jęj umysł. Na widok tego szpiega lekarskiego, którego tytuł i przeznaczenie przed nią ukrywali, doznawała mimowolnej trwogi; drażliwość nerwowa rozwinęła się w nięj témbardziej, i jedyny skutek jaki wydała ta nieszczęsna przezorność był ten, iż młoda dziewczyna niepokojona była boleśnie, przekonana będąc, że idzie o to, aby ją ratować jako zagrożoną niebezpiecznie.

Stryj wysiłił się na wyszukanie pozorów dla usunięcia z umysłu swęj siostrzenicy tęg myśli, zakłócającej jęj spokojność. Cały swój zapas dyplomatycznych tłumaczeń wyczerpał, dowodząc jęj, że stosunki handlowe i spekulacyjne sprowadziły doktora w dom jego; gdy jednego poranku cała zbladła wpada Eliza do jego gabinetu, a ucałowawszy Sir Karola, odezwała się głosem wzruszonym.—Mój drogi stryju, powiedz mi czy mam się czego obawiać, czy memu zdrowiu co zagraża?

Niespodziane zagadnienie zmięszało Sir Karola, długo się jąkał, nie mogąc się zdobyć na

żadną odpowiedź; wreszcie, przyszedłszy nieco do siebie, — bynajmniej, — odezwał się cały zakłopotany, nie obawiaj się niczego..., dziecko z ciebie... szczerze ci mówię... to śmieszność... to nierozsądek.

Całe tłumaczenie się stryja było tak gwałtowne i energiczne, jego zdziwienie tak źle udane, a trwoga tak widoczna, że biedna Eliza uściskawszy swego stryja, i uśmiechając się przy odejściu, nabrała zupełnego przekonania, że jój podejrzenia były prawdziwe, że jój choroba jest nie do wyleczenia, i że jój pozostawało tylko zdać się na wolą Boską.

Nie waham się wyznać, że to przekonanie Elizy wpłynęło stanowczo i zgubnie na postęp choroby i jój rozwinięcie się. W ogólności, lekarze bardzo mało zwracają uwagi na moralną stronę swojej sztuki. Nie chcą wiedzieć, że imaginacja wielką wywiera nad nami władzę, nie chcą wiedzieć, do jakiego stopnia ciało zostaje pod wpływem umysłu.

Dosyć powiedzieć, że od téj chwili Eliza odmieniła się zupełnie, życie jój podobnym się stało do promienia światła drgającego w przestwo-

rze między ziemią a niebem, wesołe, lecz pozbawione tego swobodnego wybuchu uczuć, którym niegdyś czarowała wszystkich co ją bliżej znali. Często znajdowano ją samotną w swoim pokoju zapłakaną, zgnębioną pod wpływem myśli, że zarody śmierci piastuje w sobie.

Sir Karol niezadowolony z następstw, które wywołane zostały przez jego nieostrożność i niezręczny dozór, zrobił się niespokojnym i gderającym. Eliza, w obecności stryja uzbrajała się w odwagę, udawała zupełną spokojność, której wcale nie doznawała. Szczęście téj malój rodziny, dawniej tak ciche, swobodne, zamącone zostało; jakaś žena tajemna, jakieś udanie w każdej chwili i w każdej okoliczności, podkopały jego istnienie. Nic nie mogło zatrzeć w umyśle Elizy tego wrażenia, które przeszło w silniejsze przekonanie, w skutek troskliwych i wyszukanych starań, któremi ją Sir Karol otoczył. Mocny kaszel połączony z duszeniem się, brak apetytu, jakiś odcień bladości, były dostatecznymi powodami udręczenia Sir Karola Herbert.

Ta choroba ma jeszcze i tę własność, że przez długi przeciąg czasu niepokoi rodzinę,

trzymając ją między obawą a nadzieją. W długim i okrutnym oczekiwaniu ciosu, którego ma uderzyć, w naszych oczach przedmiot kochany zdaje się umierać razy kilkanaście.

Czyż może być coś okropniejszego, pytam was, nad widok postępu śmierci w żyjącym człowieku, i uważanie czyli wyrok spełnionym został.

Taki był stan wewnętrzny tej rodziny, gdy Miss Herbert zaczynając ośmnastą wiosnę życia, powracała do Anglii.

Podróż długa i jednostajna jak zwykle, dała wszelako niejaką podniętę jej zdrowiu. Nowość wrażenia, powiew morskiego wiatru, którego zwykle sprawia przynajmniej czasową jędrność tym, którzy pod jego znajdują się wpływem, wszystko zdawało się szczęśliwie składać na polepszenie się jej zdrowia, i za przybyciem do Plymouth, nadzieje stryja odżyły z całą siłą. Gdy patrzył na nią jak się wsparła o poręcz statku, z okiem ożywionem, z postawą spokojną, swobodną, sądził, że niebezpieczeństwo już minęło na zawsze, że obawy jego były płonne, i że zdrowie Elizy ustalone.

Powóz oczekiwał ich nad brzegiem; jednym lekkim susem przebyła przestrzeń oddzielającą ją od powozu. Gdy zajęli miejsce obok siebie w powozie, starzec w uniesieniu radości uścił ją serdecznie i rzekł:

— Moje dziecko, otóż jesteśmy w Anglii, oby ci Pan Bóg szczęśliwie żyć dozwolił. Przez długi czas przyznam ci się szczerze, twoje zdrowie wzbudzało we mnie obawę; teraz, gdy oddychasz powietrzem rodzinném, mam wewnętrzne przekonanie, czuję jakąś pewność, że będziesz szczęśliwa i zdrowa.

Sir Karol mówił te wyrazy ze łzami. Sławny doktor Baille, któren żył wówczas, i był wezwany na poradę, nie odkrył w osobie Miss Herbert żadnej zasady do lękania się o jej zdrowie.

— Jest to, — mówił on — dziewczę delikatne, której zdrowie mogłoby być bardzo zachwiane, gdyby się na przyszłość zbyt oddawała pracy lub zabawom, ale prowadząc życie umiarkowane, zamieszkując na wsi, gdy nadto wcześniej będzie za mąż wydana, może dojść późnego nawet wieku.

Sir Karol Herbert uspokoiony do reszty, trzymał się ściśle przepisów doktora. W bliskości Londynu nabył willę z pałacem w stylu lekkim gotyckim, którego ozdobne wieżyczki panowały nad morzem roślinności. Willa ta była przybytkiem świętym, w którym on ubóstwiając swoją siostrzenicę, urządził dla niej pobyt pełen przyjemności zarazem i prostoty.

Jego życie, jego myśli były poświęcone dla Miss Herbert; on należał do tych charakterów silnych, namiętnych, jednolitych, których potęga ma w sobie coś nadzwyczajnego, i która się wzmaga w odosobnieniu.

Częstokroć wsparty na oknie biblijoteki, wpatrywał się okiem wyteżoném na zielony trawnik rozciągający się szerokim obszarem pod murami pałacyku. Była to scena nie dramatyczna wprawdzie, ale rzewna z powodu wewnętrznego uczucia jakie leżało w duszy starca.

Młode dziewczę z dniem każdym stawało się piękniejsze, i mimo wieku młodocianego, zatrzymała jeszcze delikatność dziecięcia, bawiła się kwiatami. Pies, własność familijna, przyjaciel domowy, był jój towarzyszem, układał się przy jój

nogach, zrywał się lub zatrzymywał na jój zawołanie; a stryj, któren na świecie nie miał już żadnych związków, któren swojej siostrzenicy poświęcił całe swe przywiązanie i nadzieje, żył dnie całe spoglądając na wszelkie poruszenia młodego dziewczęcia.

W ośmnastym roku życia, jój piękność, jój umysł rozwinęły się jednocześnie. Nie będę czytelnikom moim przytaczał idei ani uczuć, które to młode dziewczę wzbudzało we mnie. Większa część ludzi płytkim tylko obdarzona pojęciem, nie dałaby wiary memu opowiadaniu, sądząc, że istotę méj wyobraźni ubrałem w kolory idealne. Ci jednak, którzy głębiej wtajemniczają się w szczegóły i zjawiska naszego życia, zarzucają mnie nawet brak dokładności; wiedzą albowiem z jaką szybką dojrzałością władze umysłowe rozwijają się u osób, wskazanych na śmierć przez chorobę suchot. Z wielkiem zajęciem słuchałem jój rozmów, w których było zawsze tyle myśli wzniosłych, tyle spostrzeżeń porywających i nowych, których nieznaleść w wielu utworach nowoczesnych, nawet wziętością zaszczyconych autorów; a gdybym tutaj przyto-

czył uwagi pełne naiwności młodej dziewczyny nad Tassem i Mozartem, nad wzruszeniami, które wywołują sztuki piękne, mianowicie muzyka i malarstwo, posądzonoby mnie o szarlatanizm literacki lub proste marzenie. Niechaj filozofja wyjaśnia, jeżeli zdola fenomen téj choroby, która odsuwając najprzód swe ofiary od wszelkich myśli ziemskich, przygaszając w ich łonie ogień życia, roznieca płomień duszy i umysłowe władze rozbudza.

Wkrótce, uczucie daleko silniejsze od tych, które dotąd zajmowały Miss Herbert, ovladnęło jój sercem. Młody kapitan Fitz Williams złożył jój hołdy swoje, a poparty życzliwością Sir Karola, odpowiedni zresztą usposobieniu i sercu Miss Herbert, usłyszał słowo miłości które wzniecić potrafił, i które podzielać był godzien. Atmosfera szczęścia zdawała się otaczać młodą dziewczę i utrzymywała jój sily fizyczne; widząc jak zaręczeni codziennie przebiegali konno rozkoszne błonia księstwa Kent, sądziłbyś, że śmierć zapomniała o swój zdobyczy.

Spokojny o zdrowie siostrzenicy stryj, pojechał do Irlandyi dla załatwienia niektórych inte-

resów. Za powrotem do domu nie spostrzegł żadnej zmiany w swojej siostrzenicy, ale w trzy dni potém, gdy pracował w swoim gabinecie nad załatwieniem korespondencyi, weszła poufna Eliza, której postawa i ruchy zakłopotane zadziwiły Sir Karola.

— Eliza czy nie chora, zapytał składając okulary na biurku.

— Nie panie—odrzekła zapytana, zmięszana nagłém poruszeniem starca. Następnie, z ostrożnością mównicy, i tysiącnymi wybiegami opowiedziała szczegóły niebezpieczeństwa które się objawiły podczas nieobecności stryja; kaszel lekki, bezsenność ciągła, poty zimne, co wieczór gorączka, wreszcie purpurowe barwy na obu policzkach.

Stryj całe dwuznaczne opowiadanie wysłuchał z cierpliwością i uwagą, ale za usłyszeniem tych ostatnich wyrazów, tłukąc swe okulary o biurko i zrywając się nagle:

— To suchoty, to suchoty, te plamy pasowe, to śmierć. Czemuście mnie o tém zaraz nie uprzedzili, czemuście nie napisali do Irlandyi, o! nigdy ci tego nie zapomnę.

Zadzwoił na służącego, i natychmiast wyprawił go po doktora Baillie; służący zastał go chorego. Sir Karol niezadowolony z tego zawodu, posłał po mnie. Tę więc okoliczności winien jestem swój wstęp do tego domu, w którym miałem sposobność podziwiać tę niepospolitą energiją uczuć nieklamanych, płynących z serca, a nie z włożonego obowiązku. Żaden ojciec nie objawiał względem swęj córki tak tkliwęj niespokojności; nigdy mąż nie zdawał się żyć ściślej z życiem swęj ładnej i młodej żony.

Na wspomnienie tego wyrazu suchoty, biędny starzec drżał od trwogi. Trudno opowiedzieć z jakim błaganiem zaklinał mnie aby od Miss Herbert oddalić wszelkie podejrzenie niebezpieczeństwa jakie jęj groziło. Niepodobna opisać tęg trwogi, tego drżenia, tęg niespokojności, z jaką mnie poprowadził do nięj.

Byłto jeden z dni wrześniowych; zastawiono herbatę w małym saloniku. Smętne światło jesiennego wieczoru, odbijając się od fantastycznych kształtów gotyckiego okna, padało na twarz młodej dziewicy, ubranęj w białą muślinową suknię,—tą dziewicą była Miss Herbert.

Spojrząwszy na nią, przeczułem całą wartość obawy jój stryja. Nic bardziej nie zatrważa doktora jak ta białość cery zostająca w sprzeczności z mocnym pąsem przywartym do dwóch policzków, i ten szczególny jakiś połysk błękitnych oczu, obok bladości czoła. Takie znaki nie mylą nigdy; tego samego dnia nawet, rano, byłem przy zawarciu powiek jednej młodej dziewczyny, którą ta choroba okrutna wyrwała z łona familii. Zanadto dobrze znana mi ta krwawa plama, któremi cechuje swoje ofiary. Miss Herbert powitała mnie w milczeniu, następnie oczy jój zwróciły się na stryja.

Ta wizyta była przykra dla nas wszystkich; dla młodej dziewczyny, która wiedziała że jój życie znajduje się w niebezpieczeństwie, dla Sir Karola usiłującego napróżno ukryć swój przestach, i dla poufnój, która od dawnego czasu posiadała całe zaufanie domu, i sercem przywiązana była do téj familii. Przez przeciąg jednego kwadransa, wszyscyśmy milczeli, zakłopotani swoim położeniem; wreszcie, zobaczywszy fortepian, skorzystałem z tego, i powiedziałem kilka pochwał tyczących się jój talentu w muzyce;

uśmiechnęła się słysząc mnie mówiącego w tym przedmiocie; ten uśmiech zawierał nieco pogardy, jakby chciała powiedzieć: — Żle odgrywasz rolę... ja się na tém rozumiem.— Ośmieliłem się jednak dłużej prowadzić rozmowę w tym przedmiocie, prosiłem nawet o odegranie jakiego sonetu Beethowena, co wykonała z talentem i dobrym wyborem. Stryj się oddalił pozostawiając Elizę, powiernicę i mnie. Mój egzamin i spostrzeżenia potwierdziły przekonanie, jakie o jej stanie zdrowia z początku powziąłem; ten puls tak szybki i nieregularny, ten oddech przytłumiony i gorący, już zdradzały anioła żaloby, którego skrzydłami śmierci trącał w blade czoło swój ofiary. Nie wiedziała, że wszystkie odpowiedzi które mi dawała na moje pytania, potwierdzały nieszczęśliwe przekonanie. I mimo zupełnej pewności jej zguby nieochybniej, musiałem się zdobywać na wyrażenia oznaczające obojętność i rzecz małej wagi. Słuchała mnie z pozornym dowierzaniem, które tém bardziej było mi bolesnym.

Do widzenia się,—rzekłem odchodząc,—kto

tak dobrze wygląda, nie potrzebuje często widywać się z doktorem.

— Bardzo ci dziękuję doktorze, — rzekła podając mi swoją rękę; dziękuję za twoją chęć uspokojenia méj obawy; chciój się zobaczyć proszę cię z moim stryjem, i uspokój go, gdyż on jest bardzo niespokojnym.

Sądziłem że moje ostatnie wyrazy zasłonią przed nią niebezpieczne położenie w którym się znajdowała, omyliłem się jednak.

Jak tylko opuściłem salon, udała się, jak mi później mówiono, do odosobnionej kapliczki i tam długo płakała... zrozumiała moje myśli.

Czułem, że z méj strony należało odkryć całą prawdę Sir Karolowi Herbert; zastałem go w jego gabinecie; trzymając w rękach kapełusz i rękawiczki, oczekiwał aby mnie odprowadzić do bramy parkowej. Po tém wszystkiém com widział i słyszał, powiedziałem mu: przykry obowiązek mego powołania nakazuje mi wyznać panu, że pierwsze symptomata choroby płuc już się objawiły u jego siostrzenicy. Być może, że starania lekarskie, zmiana klimatu odwloką na dalszy czas grożące niebezpieczeń-

stwo, ale zupełnie wyleczyć... chyba tylko cudem Bożym.

— Litościwy Boże, — zawołał Sir Karol, i przez kilka minut stał oparty bez żadnego ruchu o kratę parku.

— Ale! zapomniałem ci powiedzieć, — zawoła nagle uradowany, że mu na myśl przyszło, zapomniałem ci powiedzieć doktorze, że Elizie powrócił się apetyt, wszak to jest dobry znak nieprawdaż doktorze, odpowiedz proszę cię.

Odpowiedź moja była okropna i zrobiła na nim głębokie wrażenie; oświadczyłem mu, że wszyscy dotknięci chorobą suchot, na krótki czas przed śmiercią zwykle odzyskują apetyt.

Naówczas nieszczęśliwy ten człowiek którego cała istność była skojarzona z losem siostrzenicy, oddał się bez żadnego względu okropnej rozpacz.

— Więc ten aniół umierać musi, umierać koniecznie doktorze! cały mój majątek poświęcę, aby jęj tylko uratować życie. Sprowadź się do mnie, mieszkać u mnie, sam zarządzaj wszystkiem, ale ją uratuj na miłość Boską. Czy jechać z nią do Francyi, czy do Włoch, jestem go-

tów na wszystko, bo widzisz jój życie to istność moja, gdy ona zgaśnie, cóż ja pocznę na świecie.

— Nie unós się pan, przynajmniej staraj się okazać spokojnym w jój obecności, w przeciwnym razie zgon jój przyspieszysz.

— Ach doktorze! to ironija... być spokojnym patrząc na nią, i widząc w polowie na marach leżącą.

Nazajutrz oddałem powtórna wizytę Miss Herbert, rozmowa z nią była zarazem nader dla mnie zajmująca i bolesna.

Biedna istota opisywała to co czuła z niezwykająną przenikliwością. Czuje, mówiła mi, jakąś próżnią wewnętrzną, brak tchu któren zdaje mnie się opuszczać, jakąś niemoc bez bólu, tajemną, ciągłą potrzebę ulżenia przez częste odkaszliwanie, do którego niestety przyłącza się już i krew. Jednym słowem to były suchoty.

— Jak długo sądzisz doktorze że będę mogła żyć jeszcze, — zapytała miłutkim swym głosem.

— Na miłość Boską, nie zadawaj mi pani podobnych zapytań, one są bez znaczenia, — płonne.

— Powiedz przynajmniej czy będę bardzo cierpiała.

— Nie sędę, przynajmniej teraz abyś pani miała wiele cierpieć, ale radzę klimat łagodniejszy, któren może się stać bardzo pomocnym.

Młoda dziewczica słuchała tych wyrazów ze drżeniem, a twarz zdawała się mówić, — nie wierzę twoim obietnicom doktorze.

— Biedny mój stryj, — zawolala, — biedny Karol, i upadła zemdlona na ręce domowników. Sir Karol z natury nadzwyczaj drażliwego temperamentu, i którego rozliczne w życiu przeciwności nie nauczyły być cierpliwym, ukazał się w téj chwili, i boleść swą zaczął objawiać uniesieniem i gniewem.

Człowiek z wyższém ukształceniem, rozsądny, towarzyski, salonowo ułożony, nie mógł się powściągnąć, i miotał najstraszniejsze przekleństwa. W szale gniewu i rozpacz, bił słujących i tłukł wszystko co mu w ręce popadło. Gdy mu chciałem przedstawić bezużyteczność i niedorzeczność takiego postępowania, obrócił swoje zlorzeczenia na mnie, na medycynę i na lekarzy w ogóle.

— Sądziś doktorze, że ja może żartuję, albo sam będziesz śmiał najgrawać się ze mnie. Jako, jój życie uchodzi co chwila widocznie, ja na to patrzę, a ty chcesz doktorze abym był spokojny. Oh! zaiste ja szaleję, szaleję z bólu. Przekleństwo duszom zimnym i ludziom bez serca!

Wkrótce zamiast jednéj osoby, miałem dwóch pacjentów do pielęgowania, i obawiałem się aby naprawdę obłąkanie nie owładnęło starca. Umysł ognisty i zarazem melancholiczny, zwykle tylko jeden przedmiot obiera, któremu oddaje się z całą duszą.

Usiłowania na jakie się zdobywał Sir Karol aby owładnąć i przytłumić w sobie te gwałtowne wybuchy, które nim miotają, wywiązały febrę, która przez długi przeciąg czasu zatrzymała go w łóżku.

Gdy doktor Baillie oddający się wyłącznie leczeniu chorób piersiowych, przyszedł do zdrowia po przebyciu ciężkiej i niebezpiecznej choroby, poszedłem do niego i zaprosiłem aby się udał razem ze mną do Miss Herbert.

Zastaliśmy ją spoczywającą w ubraniu negligowém; prawą ręką zasłoniła swą twarz,

w lewej trzymała wstążeczkę z medalionem w którym znajdowały się włosy. Zobaczywszy nas, powstała z wolna i podała rękę doktorowi Baillie. Po chwili milczenia, doktor Baillie przemówił do Miss Herbert kilka wyrazów uspakajających, których znaczenie prawdziwe aż nadto dobrze rozumiałem, i wyszedł z salonu. Stryj spostrzegłszy nas, rzucił się raptownie z fotelu na którym spoczywał, i stał oparłszy się o komin, nie mówiąc ani słowa przez cały czas wizyty; okropny był wyraz jego twarzy.

— Sir Karolu, — odezwał się mój kolega, przepowiednie doktora są uzasadnione i słuszne, klimat naszego kraju w tej porze roku jest zabójczy dla tych, którzy podlegają słabościom piersiowym. Ze wszystkich rodzajów suchot, mógłby się rozwinąć najboleśniejszy, i zabrać ją szybko ze świata, należy więc przedewszystkiém zmienić klimat. Pojedź z nią do Włoch, jest-to jedyny środek dla odwleczenia zabójczego ciosu któren jej życiu zagraża.

W trzy tygodnie potem, cała familija już była w Neapolu.

.

Na kilka dni przed ich odjazdem, przyszedłszy do domu aby wytchnąć nieco po trudach swego zawodu, usłyszałem mocne uderzenie dzwonka w przedpokoju; wkrótce zaraz postać w czarnym ubiorze z twarzą bladą, okiem zamgloném i zapadlém, z głosem wzruszonym i posepnym stanęła przedemną. Był to kapitan Fitz-Williams, któren znajdował się w Szkocyi dla przepędzenia tam kilku tygodni u swych krewnych, gdy mu doniesiono o stanie zdrowia Miss Herbert. Wszelkimi sposobami starałem się ukoić niemą jego rozpacz w której był po-
grążony.

Wyrazić mi niepodobna jak byłem wówczas wzruszony.

Rozumiem co to wszystko znaczy, ona i ja jesteśmy na śmierć wskazani. Nieszczęsna chwila pierwszego naszego poznania się.

Uczeni, za głębokich filozofów w świecie uchodzący, i tym tytułem zasłaniający niedoleżność swoją, ludzie zużyci, których świat cały już nudzi, i którzy nie pojmują innego szczęścia lub niedoli nad możność lub brak używania zmysłowych rozkoszy, nawet ci, nie mieliby od-

wagi popisywać się przed nieszczęsnym narzeczonym ze swoją teorią egoizmu, bolesnego doznaliby wzruszenia.

To zupełnie inna choroba od każdéj innéj, to śmierć powolna stojąca nad ofiarą swoją, jak owa postać w Dantem, która ogarnia swą ofiarę stopniowo, ta pewność bliskiéj śmierci, wolny postęp téj klęski, czynią ją najstraszniejszą ze wszystkich chorób, w których jeżeli nie ma zupełnéj pewności, to przynajmniej jest jakiś cień nadziei, wyrwania ofiary z grożącego mu niebezpieczeństwa.

Kapitan wziął uwolnienie od służby wojskowej, towarzyszył swojej narzeczonej do Włoch, i pozostał tam do końca miesiąca Czerwca. Roskoszne niebo Neapolu, zdawało się obudzać w młodéj dziewicy siły jéj żywotne, a omylony tą nadzieją zwodną, błyszczącą zawsze na odległym horyzoncie w chorobie suchot, stryj i Fitz Williams sądzili, że ją jeszcze uratować zdołają. Lecz jak to zwykle się zdarza, przywiązanie ich wzrastało w miarę, jak przedmiot ich upodobania zbliżał się do swego zgubnego kresu.

Wreszcie Eliza nalegała o powrót do Anglii,

nie życzyła sobie, jak mówiła, umierać gdzieindziej, tylko na swojej rodzinnej ziemi, aby złożoną być w grobie obok matki swojej.

Widziałem ją po jej powrocie... była to zupełnie inna osoba. Ten kwiat dawniej wprawdzie wędnący, był teraz przedemną złamany, zgnieciony, zwiędniały, niby lilija którą wieczorem opuszczamy kołyszącą się na swój łodydze, a którą rano po burzy zastajemy ze strząśniętym kwiatem i poszarpanymi liśćmi złożoną na ziemi.

W tym samym salonie w którym ją po raz pierwszy ujrzałem, siedziała czyli raczej leżała na Ottomance naprzeciw dużych gotyckich okien; gdy wszedłem, znajdujące się przy niej osoby, ostrzegły mnie gestem znaczącym, że Miss Herbert zdrzemnęła się nieco; ledwo dotykając się podłogi w obawie nieprzerwania jej spoczynku, zbliżyłem się do łoża nieszczęsnej dziewczicy.

Bytto cień tylko, owinięty szalem indyjskim; biała muszlinowa suknia jaśniała z pod ciemnych, różowych palm kaszemiru; wycieńczone jej ręce i nogi niknęły w atlasie i jedwabiu, które nawet nie uwydatniały ich kształtów; z dniem każdym

resztki jęj sił niknęły widocznie. Trudno było uwierzyć, że ta dziewica jeszcze żyje, że krew krąży w jęj żyłach pod tą powłoką przezroczystą skóry, raczję wziąłbyś ją za symbol anioła, lub misterną rzeźbę dłuta Kanowy. Długie, czarne rękawki z których wychylały się jęj ręce, tym bardziej uwydatniały białosc jęj skóry. Jęj kibić ściśnięta szafirową wstęgą, zdawała się należęc do dziewczynki mającęj lat dziesięć wieku, aniżeli do osoby w wieku Elizy. Ruchu żadnego; listek róży złożony na ustach choręj, nie byłby drgnął nawet; znikające z nięj ciało, otwarło symetryją i regularność naturalną delikatnych jęj rysów, był to szkielet tylko, a jeszcze ostatki niepospolitéj piękności, opromieniły na wpół zamarłe ciało.

Okropną jest rzeczą spoglądać na takie sceny.

A stary stryj którego czoło pokryło się bładoscią, i któren wszystkie utracił włosy od czasu gdy siostrzenica na śmierć wskazaną została, ocierał batystową chustką krople zimnego potu, dobywającego się z jęj zapadniętych skroni i poźółkłego czoła.

Wreszcie podniosła oczy, odwróciła głowę, a ujrawszy mnie siedzącego obok swego łóżka, podała mi rękę ze smętnym uśmiechem.

— Czym się bardzo zmieniła doktorze, rzecz głosem tak cichym, żem ledwo zebrał wyrazy, któremi do mnie przemówiła.

— Z przykrością widzę, odpowiedziałem, że pani jesteś znacznie osłabiona i wycieńczona.

— A mój stryj, nieprawda jak się także zmienił.

Następnie usiłowała podnieść się własnymi siłami, lecz nie mogła tego dokonać sama, starzec pospieszył całując czoło swojej siostrzenicy.

— Oszczędzaj mnie, oszczędzaj mój stryju, twoje przywiązanie mnie dobija.

Potém powstała, czerpiąc siłę w chwilowém wzruszeniu, i podparta na ramionach stryja, opuściła sałę zalewając się łzami.

Te szczegóły których jednostajność może nudzi czytelników moich, tworzą tło téj domowej tragedyi, przedmiot rozmów pospolitych i obojętnych, a która się nazywa: — Chorobą suchot.

Puls już ustawał, arteryje zdawały się być

sparaliżowane, i grobowe zimno śmierci przejmowało młodociane jój żyły. Starzec jeszcze nie tracił zupełnie nadziei; mocniejszy blask w jój oczach, nieco chwilowej świeżości w cerze, wystarczały do podtrzymania w nim tej ślepej wiary w przyszłość, której miłość prawdziwa nie porzuca nigdy.

Jednego szczególniej wieczora byłem wzruszony i do głębi duszy przejęty, smętną sceną, od opisu której chociaż w krótkości nie mogę się powściągnąć.

Wszyscy znają charakter muzyki Mozarta, a szczególnie jego muzyki kościelnej. Jest-to coś czysto duchowego, nadzmysłowego, co wcale nie tycze się zmysłów, coś uroczystego, razem rzewnego i wzniosłego. Nikt nie wykonywał tej muzyki, nie oddawał jój ducha dokładniej nad Elizę. Jój dusza, jój skłonności zdawały się być nastrojone do tych akordów łagodnych i niezmysłowych.

— Elizo, moje dziecko—odezwie się stryj,—zagraj nam tę cudowną mszę Mozarta, którą nie raz przegrywałaś wieczorami. Doktorze, może

zechcesz posłuchać. Muzyka! to jedyna przyjemność jaka mi pozostaje.

Eliza przystąpiła do fortepianu. Nigdy genijusz Mozarta nie wzbudził we mnie wyższego szacunku jak tego wieczora. Gdy rzewne i uroczyste melodyje ogarnęły mą duszę, padły mi na serce, nie mogłem wstrzymać się od łez. Boskość i boleść te dwa piętna któremi Mozart nacechował swoje utwory, uczulem głęboko i z całą siłą. Ta pyszna i wielka harmonija podniesioną została do szczytności pod palcami kona-
jącego anioła, na którego spoglądałem z żalem. Łzy padały mi z oczu, Miss Herbert to spostrzegła.

— To za smętna muzyka; nieprawda doktorze—odezwała się do mnie. Stryj pod wpływem wzruszenia musiał się oddalić.

— Gdy mnie pochowacie w grobie,—mówiła dalej Eliza, — pragnę aby ta muzyka wykonana została na organach. Oh! i on kochał także, oh!....

Westchnęła, a w drugim końcu salonu odezwało się westchnienie jak echo; to wchodził

Sir Karol, którego twarz zasłonięta chustką napróżno usiłowała ukryć swe wzruszenie.

Na cóż się przyda opisywać szczegóły ostatnich chwil jój konania. Ubytek ciała i bladość cery, wskazywały codziennie postęp trawiącój ją choroby. Kapitan Fitz Williams, któren z powodu febry nerwowój musiał czas pewien pozostać w Medyrolanie, powrócił zapóźno, niestety! zastał już tylko martwe zwłoki téj, którą uwielbiał.

Byłem obecny do ostatniój chwili życia téj dziewczicy, której imaginacyja i umysł podsycane poetycznym ogniem w skutku ataku gorączki, przed zgonem podniosły jój duszę do stopnia jasnowiedzenia. Jój zgon, poprzedził na krótko zgon starca i szlachetnego młodziana.

Oby wspomnienie, które jój tu poświęciłem, mogło wzbudzić dla niój sympatyją.

Smutny to dramat niewydatny i jednostajny, jest wiernym obrazem scen, które w życiu rzeczywistém powtarzają się ciągle, i nie jedno już zdruzgotaly serce.

ROZDZIAŁ V.

Miłość młodzieńca i miłość starca.

Lukrecyusz, chcąc odmalować dotykalnie to następstwo istot żyjących, które wiecznie zachowują swój gatunek, ucieka się do figury poetycznej równie śmiałej jak wzniosłej. Ludzie, mówi on, podobni są do gońców, podających sobie pochodnią życia.

Et quasi cursores, vitæ lampada tradunt.

Nic w rzeczy samej, nie maluje lepiej owęj akeyi ruchliwój i przechodniój pierwiastku żywotnego, rodzaju przetwarzania się, właściwego istotom organicznym; nieśmiertelność bowiem indywidualna jest im odmówiona. Tym to spo-

sobem, życie przechodzi od zarodków żywych, rozwiniętych, które wkrótce giną, do zarodków zapłodnionych, posiadających możliwość przyjęcia tego życia, podobnie jak się udziela ruch, przez uderzanie się ciał. Wszystko co żyje, podlega wpływowi tej potężnej przyczyny wiecznego odżywiania wszechświata; wszędzie są widoczne skutki tej przyciągającej i rodzącej energii. Gdzież miłość nie przenika? Gdzież życie, jeżeli nie w miłości? Miłość krąży w gałązkach, żyje w kwiatku, w ptaku, w owadzie, miłość jest jedyną istnością i jedynym życiem, ponieważ to życie wywołuje i uwiecznia.

Władca świata, miłości powierzył część swęj twórczej potęgi. Miłość jednak, jako pierwotna przyczyna, energiją swoją przedewszystkiēm oddziaływa na człowieka; ona go zmienia, zmienia ciągle i stanowczo, szczególniej w pewnych epokach życia; i dla tego miłość, jest właściwością ludzkości, żadne zwierzę nie potrafi wznieść się do tej szczytności uczucia. Pod nazwą uczucia, miłości rodziny, pokolenia, odnajduje się nieustannie ze względem na swe źródło przekąźnictwo życia, i zapatrując się na ten przed-

miot w całej jego obszerności, wyrzec można, że historia miłości jest historią rodu ludzkiego.

„Dajcie mi—powiedział Kartezjusz (Descartes) materjya i ruch, a świat wam utworzę.“ Lecz w wielkiem prawie, o którém tu jest mowa, materjya i ruch dosięgły zdaje się szczytu działalności; one działają, one kombinują się wzajem i tworzą świat istot organicznych. Co więcj, świat stwarza się z każdą godziną, z chwilą każdą, bowiem tajemnicza siła powinowactwa żywotnego cząsteczkowego, działa wiecznie, jakkolwiek zawsze zastosowana do postaci i gatunków ciał żywotnych, tę siłę zawierających; wypada stąd, że względne następstwo zjawisk życia, utrzymuje się stale, gdy raz przyczyna żywotna rozwinęła swe działanie. Czytamy w jednym hymnie greckim: — Bóg wyrzekł do miłości, niechaj wszystko urządzoném będzie, i stało się tak natychmiast. Wiekuistych dzieł sprawca, który słońcu nadał prawa, urządził także działalność istot na ziemi; on im udzielił pewną część życia, a gdy ta doszła do całkowitego swego rozwoju, do szczytu i pełności energii, polecił jej krążyć i przechodzić w inne przez pośrednic-

two miłości; ciągle więc natrafiamy na piękny obraz Lukrecyusza.

Zastanawiając się w rzeczy samej nad tym wielkim warunkiem: że organizm winien mieć szczyt doskonałości, pojmiemy łatwo, że trzeba, że tak powiem, nadmiaru życia, ażeby je przekazać innym istotom, a to miejsca mieć nie może, gdy siła żywotna jest w peryjodzie swego chylecia się. Jak tylko czas znużył naszą istotę, pochylit ciało ku ziemi, człowiek czuje się już niezdolnym do dania innym życia.

Wszystkie namiętności stygną w wieku podeszłym; w rzeczy samej, one jeszcze istnieją, lecz ich ognisku zbywa na działalności; owa namiętność najpotężniejsza, najgroźniejsza ze wszystkich, *miłość*, zagasła zdaje się na zawsze. Natura, rozsądek, przyzwoitość, towarzystwo, wszystko mieć chce: turpe senilis amor. Gdy człowiek przebiegł część drogi życia, gdy siły słabną, a zdrowie nadwątlone, biada mu, gdy wiedziony wspomnieniami, żalem, czasem reszłą dzielności i ognia wyobraźni, odważy się wypłynąć jeszcze na owo morze, tak w rozbicia obfite; bolesne doświadczenie nauczy go, że to

uczucie nie harmonizuje z jego wiekiem. Niczego nie należy się obawiać więcej, jak miłości prawdziwej; niczem pogardzać więcej jak miłością plochą, szczególnie w starości. Gdy Henryk IV w pięćdziesiątym piątym roku zakochał się w księżnej de Conti, a Chaulieu w ośmdziesiątym drugim roku w pannie Delaunay, obydwaj wystawili się na pośmiewisko współczesnych. Co więcej, miłość nadużywając swego wpływu na fizyczność, staje się wówczas, jakto uważali starożytni, współwinowajcą i zwiastunem owjej nieubłaganej bogini, którą Libitiną nazywali; stwarzanie bowiem i niszczenie są do siebie w stosunku prostym i nierozzerwanym. Śmierć i miłość dążą po tym samym gościńcu, a pani de la Sure, mówiąc, że pani de Sully karmelitka, przysłała jej głowę trupa w koszyczku z róż, daje na to symbol o tyle straszny, o ile prawdziwy.

Czyż należy stąd wnosić, jakoby starość była zupełnie wydziedziczoną z tego uczucia, które nadaje wartość życiu, a pod pewnym względem jest życiem samego życia. O nie zaiste! chociaż istota nasza zmienia się z postępem wie-

ku, miłość jednak nie ma ograniczenia, chyba dla dusz ograniczonych. W człowieku przy schyłku życia, wyzuwającego się z wszelkiej zmysowości, miłość przybiera charakter czysto moralny od poddaństwa zwierzęcości wyzwolony, jako pozostający w związku z samą potęgą duszy. Jest to miłość rodzicielska, miłość małżeńska, miłość synowska, która nie posiadając tyle energii co pierwsza, rozgrzewa jeszcze stare serca i stare lata. Młodzi ludzie tak sądzić nie zwykli, inaczéj téż być nie może. Oprócz namiętności wrzącéj, gwałtownéj, która ogarnia wszystkie zmysły człowieka, żadnéj innéj nie przyznają panowania nad duszą. W ognistéj swéj imaginacyi, uwiedzeni i oczarowani zmysłami i wyobraźnią, widzą tylko piękną téj namiętności stronę, urok bez końca, nadzieję, pociechę wieczną; oni wierzą, jak powiedział sławny poeta, że miłości zbywa jedynie na długotrwanii, żeby była razem, Edenem przed upadkiem i Hozanną bez końca. Przeciwnie ludzie w wieku, widzą często w miłości tylko pociąg szalomiący, władzę despotyczną nad wolą, rodzaj szaleństwa niezgodnego z mądrością, cnotą i порядkiem współcz-

nym; oni dzielą zdanie tego, który wyrzekł, że Gracyje i rokosz są téj saméj płci co i Furyje. To pewna, że jedni i drudzy mają słusność, bowiem ich punkt widzenia jest odmienny; pierwsi sądzą tu przez wyobraźnię, ostatni przez zastanowienie. Wreszcie miłość, podobnie jak natura kryje w swém bogatém łonie sprzeciwieństwa najwyższe, niepodobieństwa najwyraźniejsze stosownie do czasów, wieków ludzi i charakterów. To właśnie czyni niewytlómaczoném to uczucie tak żywe, tak różnobarwne, tak zawile. Jakże trudno poznać tę istotę na pół rzeczywistą, na pół udaną, tę tkaninę najprzeciwiejszych skłonności; zanalizować tę niepojętą mieszaninę wściekłości i czułości, uczuć wzniosłych i żądz niskich, ufności i podejrzliwości, podejść i szczerości, nadziei w udręczeniu i niespokojności w powodzeniu, owe katusze złączone z roskoszami, i roskosze z katuszami społem, które my nazywamy miłością. Przesady w tem nie ma żadnej; badając bowiem skutki téj namiętności na sprawy żywotne ludzkie i uczucia ze stanowiska psychologicznego i filozoficznego, skutki te uwydatniają się przez przeciwieństwa najwięcej

zadziwiająca. To pewna, że miłość chociaż najmniej egzaltowana, wywołuje zjawiska najdziwaczniej sprzeczne, ona rozjaśnia lub zaciemnia rozum, pali i mrozi, zabija i ożywia serce. Raz przyjmuje postać najczystszej religijności, to znów najszkaradniejszy objaw rokoszy największej zmysłowych, uspokaja i upaja; podnieca pojęcie lub je poniża i odrętwia, daje mądrość lub głupstwo; raz jest duchem dobrego, to znów demonem złego, czyni wspaniałomyślnym i zmienia w samoluba, podnieca do czynów wzniosłych, do marzeń o doskonałości, lub popycha do zbrodni, znikczemnia i upadła; jedném słowem, jej straszliwy wpływ na ciało, pojęcie i serce, jest zawsze głęboki, wielki i nieobrachowany. To uczucie jest tak słodkiem i zarazem strasznem, że zapytałby się można, czy je Bóg ludziom w swęj laskawości czy w gniewie udzielił; uwydatnimy to, roztrzásając tę namiętność z dwóch przeciwnych punktów widzenia w następującym obrazie dwóch epok życia.

MŁODZIENIEC.

Cenię i uwielbiam mądrość twą mój mistrzu,

lecz żałuję cię zarazem, że już nie czujesz żywego i czystego uczucia miłości. Miłości! jesteś życiem samem, w tém co ono ma najprawdziwszego, najwznieślejszego i najpotężniejszego. O! utrata tego przekonania, jest podług mnie najsmutniejszym lat wypadkiem. Czyż nie znajdujesz, jak prawdziwe są słowa filozofa co wyrzekł, że miłość w kraju bezbożników zniewoliłaby do oddania bóstwu czci i chwały.

STARZEC.

Nie żałuj mnie tak bardzo młody mój przyjacielu, mój stan istotny nie zasługuje wcale na twoje politowanie. Czyż żałować należy człowieka, że przeszedł z strefy skwarnej do klimatu umiarkowanego, że przekłada spokojne używanie swych władz i zdolności nad gwałtowne ich podniecanie, i że wierzy: że szczęście, krew zimna i rozsądek, mają wyższość nad złudzeniem, urokiem i szaleństwem?

MŁODZIENIEC.

Rozumiem cię, lecz właśnie egzaltacja, którą zdajesz się naganiać, nadaje uroku temu

szczytnemu uczuciu. Ten pociąg dobrowolny jest przyczyną wielkich namiętności. Czyż miłość nie jest tylko jednem istnieniem dla dwóch istot, gdy dojdzie do całej swój potęgi? Kochać jest-to dać własne życie, własne tchnienie, własne radości, własne cierpienia istocie drugiej, jest to dar nieba uzdolniający nas żyć w duszy drugiej, przekształcić istotę drugą w naszą, drugie *ja*, zespolić dwie wole, chęci i nadzieje w jedność uczucia. Gdy ta jedność raz jest zerwaną, miłość traci swój urok, natchnienie, a nawet swój charakter. Szczęśliwy kto napotka w życiu na owę latarnię zbawczą miłości prawdziwej i świętej! on czuje pobudzający się w duszy swój popęd ku temu, co jest piękne i prawe, i przychodzi do jasnego przeświadczenia o skarbach, jakie w naszych duszach Bóg ukrył.

STARZEC.

Lecz młody mój przyjacielu, obraz który skreśliłeś daje właśnie poznać wszystkie niebezpieczeństwa miłości. Życie miłości, to życie burz, cierpien i utrapień. Mówisz o nieprzewyżczo-

nym uroku miłości, a zapominasz o zawodach, dolegliwościach, obawach, zazdrości, niepokoju, żalu, jako nieodłącznych od téj groźnej namiętności? Przypuszczam jeszcze miłość wzajemną, nie da się bowiem nic porównać z cierpieniami miłości niedzielonéj. O! wierz mi, są dwa wyrazy, które ród ludzki objaśnia od wieków, i które wiecznie objaśniać będzie; jednego nazwą miłość, drugiego cierpienie.

MŁODZIEŃC.

Nie zaprzeczam miłości udręczeń. Niestety! one często są nawet nadto żywe, nadto do głębi duszy przenikające; mają one jednak charakter całkiem szczególny. Miłość jest jak wiosna, wszystko w niéj rozkwita nawet i ciernie.

STARZEC.

Dałby Bóg, żeby tak było! lecz ileż smutnych przykładów inaczéj naucza w towarzystwie, w rodzinach, w trybunałach. Nie zaprzeczysz, że namiętność ta jest tak gwałtowną i jednostajną, że przytlumia rozsądek, wycieńcza zdolno-

ści otaczając je mgłą swoją. Tracimy tę drogocenną bussolę nazwaną zdrowym rozsądkiem: *amare et non insanire vix diis concessum est* (kochać a nie oszaleć, zaledwie bogom jest pozostawione) jest prawdą, przez wieki uświęconą. Zawsze wstrząśnienie serca wprowadza umysł w stan febryczny (a).

MEODZIENIEC.

O! ważyć imię miłości na szali, toć byłoby profanacją; przyznaj raczej, że namiętność ta przyczynia się potężnie do rozwoju władz umysłowych. Pojętność rozwija się żywo pod gorącymi promieniami miłości, a stąd czucia czystsze, wrażenia subtelniejsze i głębsze. Posłuchaj kochanków, jakiz oni zadziwiający posiadają dar malowania swych uczuć, nadziei, smutku i szczęścia, wyrażenia téj mieszaniny udręczeń i roskoszy, téj słodkiej goryczy, która miłości stałe towarzyszy. Może znajdziesz panią Scudery przesadzoną, ja jednak za nią powtórzę: zasługa

(a) Plutarch powiada, że pewien lekarz umieścił sławne wiersze Saphony o miłości, w dyjagnostyce chorób umysłowych.

mierzy się obszernością serca i zdolnością kochania.

STARZEC.

Podobne zdania są bardzo na swoim miejscu w romansie, gdzie miłość podnosi się do ideału czci eterycznej, lecz gdy idzie o rzeczywistość, rzecz się ma całkiem inaczej. Niestety! owa wiara która w twoim wieku wydaje się tak prawdziwą i widoczną, jest prawie zawsze w sprzeczności z rozsądkiem i doświadczeniem. Gdzież jest kochanek, któryby kiedy myślał, obliczał, czuł inaczej jak pod wpływem ślepego i szalonego uczucia, które nim miota? Człowiek pod wpływem tej gwałtownej namiętności, dopuszcza się częstokroć czynów zbrodniczych, wpada w uniesienie, wściekłość, która go poniża i znikczemnia. Tak to urok najpotężniejszej, największej rokoszy, staje się najobfitszym źródłem zepsucia fizycznego i moralnego.

MŁODZIENIEC.

Zgadzam się na to co do miłości poziomój, kłamanój; przyznaj jednak, że miłość prawdziwa

wznosi, oczyszcza duszę i podnieca ją do czynów szlachetnych. Miłość i poświęcenie, są jak światło i ciepło tegoż samego promienia. Któż nie wie, że miłość podnieca do sławy i wawrzynów, do zdobycia palmy talentu i geniuszu? nie ma kochanka, któryby nie pragnął ozdobić laurami łoża swój najdroższej. Czytajmy na miętne listy króla Jana do Maryi Kazimiry podczas jego wyprawy przeciw Turkom, znajdziemy tam, że to uczucie nie było obcém jego zwycięstwom. Zaiste! w jedném słowie: *kochać*, są wszystkie cnoty zawarte.

STARZEC.

Zapominasz tylko o jednej rzeczy, o poniżeniu, o słabościach wielkich mężów, tém samowładnym uczuciem podbitych. Czyż Antonijusz nie porzucił panowania nad światem dla Kleopatry? Mądry Turenijusz czyż nie powierzył tajemnicy stanu swojej kochance? Nie widzianoż Nelsona wzbraniającego się wydania bitwy, i śpieszącego ucałować ramiona Lady Hamilton?

Cóż się z resztą śmiertelników stanie po podobnych przykładach?

MŁODZIENIEC.

Są to wyjątki, nie zasługujące na wzmiankę; mnie się zdaje, że w życiu tylko „kochać“ jest istotnie dobrém, a jeszcze lepszym, dziesięćkroć pierwsze w sobie mieszczącym: być kochanym. Nazwij mi uczucie, namiętność, skłonność zdolną wywołać taki ogrom szczęścia. Jakąż ideę utworzyć sobie może o nagrodzie boskiej ten, który nie poznał miłości na ziemi?

STARZEC.

Lecz młody mój przyjacielu, przypuszczasz ciągle miłość, jaką rzadko natrafisz na świecie, miłość niebiańskiej czystości. Czyż zalotność, zazdrość, wiarołomność i inne wyuzdane namiętności, nie zmieniają rokoszy w udręczenia, przychylności w nienawiść, pieszczoty w wściekłość. Są to zwyczajne następstwa miłości i

zgadzam się na to, że miłość łzami się karmi. Jeżeli łagodzi czasem dusze dzikie, nie poniżaj częścięj jeszcze dusz słabych? Ileż razy widziano jęj pochodnie zapalające się w eterycznych sferach, a gasnące w kale? Zepsucie obyczajów jest tego dowodem. Czy wiesz, że według statystyki moralnej świata, trzydziesta trzecia część zamachów na życie, dzieje się w miejscach brudnych, że czwarta część zbrodni podpalania, większa część przypadków szaleństwa, wszystkie dzieciobójstwa, prawie wszystkie samobójstwa u młodych kobiet, mają w tęg namiętności swe źródło. Miłość ma tylko piękną powierzchowność, w głębi kryje przepaść.

MŁODZIENIEC.

Co czynisz mistrzu! męszasz niską część oddawaną materyi, z miłością prawdziwą, pierwszą, najslodszą, najżywszą z roskoszy, która jest najszlachetniejszym przywilejem, jakim się szczyci ród ludzki, dla którego to uczucie wyłącznie zachowanem zostało. Ach! czemu

przemawiasz mój mistrzu z uprzedzeniami swego wieku?

STARZEC.

Bynajmniej, sięgam tylko do samego źródła tego zepsucia, tego nieładu, prawie nieuchronnego. Miłość, ten straszny sofista, sprowadza w manowce na pozór kwiatem okryte. Lecz rozsądek zimny i zdrowy łatwo potrafi przejrzeć przez ten orszak świetny, jakim miłość zdobi wyobraźnię. Mój młody przyjacielu, dziś mam szczęście czy nieszczęście, być zupełnie nieinteresowanym w tym względzie, przystoi więc mi sądzić z całą bezstronnością. Mam nad to nad tobą wyższość wielką; i ja byłem w twoim wieku, tenże sam zapał, tenże ogień krążył w innych żyłach; ty zaś nie wiedząc co uczy doświadczenie, nie masz granic porównania, a tém samém stanowczo sądzić nie możesz.

MŁODZIENIEC.

I cóż mnie ono obchodzi, i czyż potrzebuje porównań? Miłość jest tém, czém jest, — czystą

istotą duszy, najszlachetniejszą rozkoszą człowieka, nagradzającą mu wszystkie cierpienia jakim jest podległy, to sądzę jest prawdą niezmienną i wieczną. Zresztą, posłuchaj słów świętego pisarza, te spodziewam się nie odrzucisz: Nie maż nic słodsze go jak miłość, nic po-
 tężniejszego, nic szczytniejszego, nic obszerniejszego, nic rokoszniejszego, nic doskonalszego ani lepszego, ani w niebie, ani na ziemi (a).

STARZEC.

Wyznać ci muszę, że przemawiasz o miłości z uniesieniem prawdziwie młodzieńcém. Jako! porównywasz miłość boską z tą, jaka w naszych nędznych sercach się rodzi. Zapominasz jakie nieszczęścia, uludy, zbrodnie ta ostatnia wyradza; jedném słowém zdajesz się nie wiedzieć, że ona zaciemnia rozum, że go zniewala do stania się narzędziem naszego szaleństwa, do ubóstwienia naszych niedorzeczności. Zresztą, zgo-

(a) Nihil dulcius est amore, nihil fortius, nihil altius, nihil latius, nihil jucundius, nihil plenius nec melius in coelo et in terra.
 (O naśladowaniu Jezusa Chrystusa, księga II, Rozdz 5.)

dziwszy się nawet na twoję metafizykę sentymentalną, niepodobna zapomnieć o źródle i celu materyjalnym téj namiętności. Tyle egzaltacyi, tyle delikatności, a koniec tak ziemski! Przyznaj, że nie o téj miłości przemawia pisarz, którego słowa przytoczyłeś. Zgadzam się na to, że Wenus Medycejska jest prawdziwą boginią miłości, lecz nakoniec ludzie są ludźmi: aniołom tylko możliwém jest kochać tą miłością, wolną od wszelkich wrażeń zmysłowych.

MŁODZIENIEC.

Czemu nie? miłość w stosunku skończoności do nieskończoności, czyż przestaje być tą samą w swéj moralnéj istocie? Mówisz, że jest rzadką, tak téż być musi: prawdziwa miłość jest równie rzadką jak genijusz, jak najwyższa piękność, jak wielkość serca, jak wszystko wreszcie co się zbliża do doskonałości. Ona jest, ona zawsze będzie szczytnym typem szczęścia, chociaż tu na ziemi tylko w maléj bardzo części, szczupło i oszczędnie została udzieloną. Kochać!

kochać nieustannie byłoby życiem anioła. Owświęty, którego dusza miłością ognistą jaśniała, zawołał, mówiąc o duchu ciemności: „Nieszczęśliwy! on nigdy kochać nie będzie.“ Ja, chcąc ci dać wyobrażenie prawdziwe o szczęśliwości jakiej doznają wybrani, mógłbym powiedzieć: Oni wiecznie kochać będą.

STARZEC.

Pod pewnym względem, zgadzam się na to, coś wyrzekł mój młody przyjacielu. O tak! miłość, jak wszystko na tym padole, mieści w sobie smutny, konieczny warunek prędkiej znikomości, trwałości efemeryjnej; Bóg ją nam tylko dał i wskazał dla objawienia, że ona istnieje; lecz dopiero po za kresem tego życia prób i doświadczeń, będziemy mogli ją poznać w całej jej rozciągłości i czuć całą jej niewymowną słodycz. Gdyby bowiem rokosze i udręczenia miłości były trwałe, nie byłoby w mocy ludzkiej znieść je, przynajmniej bez zmiany naszego stanu rzeczywistego. Miłość nie ustaje ani na chwilę, lecz czas moderuje ją zwolna. w głę-

bi duszy ludzkiej znajduje się nieskończona potęga czucia i kochania, których źródło nigdy nie wysycha. Jednakże miłość zmienia charakter i nazwę; jest-to miłość rodzinna, miłość kraju, miłość ludzkości i t. d., a wierzaj mi, że i ta miłość ma swoje słodkie uroki i gorzką rzeczywistość. Te róże jesieni nie są bez woni, może mniej upajające, jak róże piérwszej miłości, lecz za to mniej niebezpieczne. Twoja miłość zwodzi i czaruje, uszczęśliwia szczęściem febrycznym; nasza przeciwnie, podtrzymuje byt i ustala go. W epoce twojej miłości, człowiek podlega uniesieniom i rozerwaniu, w naszej, wszystko się czuje i ocenia jasno, żadna kropla nektaru nie zostanie uronioną. Ale miłość ta, równie jak młodzieńcza, ma kres złowrogi. Życ ciągle, kochać ciągle, oto byłoby życzenie:

Ale groźna stronnica sama się otwiera,
Pragniem wrócić ku karcie, gdzie miłość jaśniała,
Spostrzegamy zaś stronę,—gdzie człowiek zamiera.

(*Lamartine.*)

Widzimy więc, jak człowiek ze zmianą tego uczucia, zmienia zdanie w tym względzie. Kilka

lat więcj, pewne zmiany organiczne, ujma ognia żywotnego, a sposób zapalrywania całkiem się zmienia. Zresztą, miłość to choroba, tym cięższa że jój nikt się nie uzali, bowiem ci, co nie kochają, nie mają o niój pojęcia, kochający zaś zajmują się sobą wyłącznie. Przyznać w każdym razie trzeba, że ludzie w wieku dojrzałyszim żalują czasu, gdy miłość im przyświecała. W rzeczy samój, któryż człowiek urodził się pod gwiazdą do tyła złowroga, żeby nigdy nie doznał słodkiego i nieprzewyciężonego wpływu téj namiętności? Czy wszyscy nie poświęciliśmy miłości najpiękniejszych lat naszego życia, młodości serca, kwiatu skłonności? Mówimy tu o téj miłości szczytnój, która samą doskonałość widzi w przedmiocie ukochanym, ona to przemawia o Psyché, że w niój nie ma, ani jednego punkciku, któryby swojej Wenus nie miał. W wieku młodym uludy nie mają granic. Dla młodzieńca, jest kobiéta przedmiotem wszystkich jego chęci, snem złotym wyobraźni, bóstwem czci jego, i że tak powiemy istotą nadzwyczajną; że zaś najwyższe wyrażenie spiritualizmu

w miłości, jest szczęście oszukiwania samego siebie, wiarą i nadzieją, wypływa stąd rodzaj upojenia, którego siła i trwałość od tysiąca okoliczności zawisła.

Tego to upajającego uroku żałuje się, gdy zimna starość uspokoiła burzę zmysłów i wyobraźni. Uluda ginie jednak tylko w polowie, pamięta się uniesienia rokoszy, a zapomina się udręczeń, niepokojów, rozpaczy, od tak gwałtownego uczucia nieodłącznych.

Natura sprzedaje nam rzeczy po ich rzeczywistej cenie: po lekkich rokoszach, lekkie cierpienia; po szczęściu wielkiem, cierpienia niesłychane: kochać więc, jest-to życie nieba; kochać się— to życie piekła; a przez fatalność szczególną, same tylko rokosze pozostawiają trwałą odcisk w wyobraźni. Drugie zjawisko na jakie natrafiamy, jest owa próżnia głęboka która nastaje gdy znikły udręczenia; im większe było upojenie, tém niesmak jest więcéj gorzki, albo inaczej mówiąc z fizjologiem: im dłużej miało miejsce podniecanie nerwowe i moralne, tém niemoc, która następuje jest wyraźniejsza i całkowitsza. To właśnie jest, co czyni często ludzi namiętnych;

niezdolnymi do zajęć poważnych i użytecznych, co napelnia ich starość smutkiem i znużeniem. Zresztą różnaitość zjawisk, które spostrzegamy w skutkach téj namiętności, zależy bardzo od różnorodności usposobień indywidualnych, od charakteru umysłów jéj podlegających. Dla jednych miłość jest uczuciem gwałtowném, samowładném, które ich pochłania i w rodzaj szalu wprowadza. Dla innych miłość jest rozrywką, i według nich najmędrzej i najbezpieczniej jest robić z miłości zabawkę, nie przywiązując wartości i znaczenia urojonego. Namiętność ich jest paroksyzmem febry, gdy przeminie wszystko się z nim kończy. Dla tego szkoła Pitagoresa uczyła: „Doświadcź serca twego, zanim pozwolisz obrać w niém miłości mieszkanie; miód najslodszy w naczyniu nieczystém kwaśnieje.“

U kobiet, namiętność ta z postępem wieku także się zmienia, chociaż mniej daleko jak u mężczyzn, i dla tego wyraz „kochać“ tłómaczy całą kobietę. Ona kocha tak jak żyje, jak oddycha, zdaje się że w niéj natura sama wywołuje potrzebę kochania; jéj zajęcie, to miłość; jéj obowiązek, to miłość; jéj nagroda, to miłość;

ciągle wierną temu potężnemu instynktowi zostaje. Życie kobiet można podzielić na trzy epoki: w pierwszej one marzą miłość, w drugiej jęj doznają, w trzeciej jęj żalują. Miłość tyle zajmuje miejsca w życiu czulej kobiety, tak pochłania jęj czas, władze i zdolności, urok idealny jakim miłość ją otacza, tak jest potężny, że gdy dojdzie do wieku, w którym miłości wyrzec się należy, ona mniema się przebudzoną z snu długiego, i po raz pićrwszy spostrzega udręczenia i niedole życia. Jednak i tu miłość zmienia tylko postać i objawy; jeżeli w pewnym wieku niektóre kobiety w stosunku przyjaźni, posiadają wdzięk delikatności, nieznanęj mężczyznom, nie należy się dziwić; to jest pozostałość miłości. W tém jest wytłómaczenie tych związków pełnych wdzięku, które chociaż znamionują dojrzałość wieku, barwią jednak ostatniemi odbłyskami młodości. Chociaż ta zdolność kochania pozostaje u kobiet stale, z postępem czasu zmienia jednak postać, a szczególnieij przedmioty.

Pani de Sevigné, którą wiek pozbawił tak mało blasku i świeżości, że ją Coulange matką pić-

kności nazywał, posiadała wielką czułość serca w czterdziestym piątym roku, lecz takową całym przelewała na córkę, a jej listy są tego nieśmiertelnym dowodem. Miłość małżeńska podniesiona do pewnego stopnia egzaltacji, jest także jednym z szczególnych rysów tego uczucia u kobiet.

Niektóre kobiety obdarzone wyobraźnią nadzwyczaj żywą, i czułością niezwykłą, wpadają w pewnym wieku w miłość mistyczną i religijną melancholiją. Często jeszcze egzaltacja religijna, sentymentalna, zmienia się w czystą i tajemniczą dążliwość miłosną. Taką była sławna pani Guyon, która pisała do Fenelona: „Serce moje pragnęło tylko w drugie przeleć przepętnienie swoje.“ Mistycyzm w którym żyła, nazywała miłością. Ona mawiała: miłość chce żebym to zrobiła, miłość mi tego wzbrania; jej demonem, jej genijuszem rodzinnym była miłość. Wiele kobiet łączy tę namiętność z najściślej-szēm wykonywaniem dewocji: surowy Bossuet nazywa to dziwacznością miłosną. Jakkolwiek bądź, jest-to zawsze to samo uczucie, namiętność ta sama, pomimo przemian jakie przecho-

dzi, i różności przedmiotów jakie to uczucie wywołują i podniecają.

Oto nakoniec ostatnia uwaga w obecnej materji: wpływ wieku jest daleko większy na miłość fizjologiczną, jak na miłość jako uczucie uważaną, ta bowiem ostatnia wymaga mniej siły fizycznej i egzaltacyi młodzieńczej. Te myśli o miłości, lawy przez czas zastygłe, mogą zachować resztę gorąca, które dla umysłu jest tak ożywcze. Są ludzie którzy stale młodzi, sercem i wyobraźnią uważają miłość za ustawiczną dewocyją, która w swém trwaniu, zdaje się raczej odżywiać pierwiastek żywotny, jak go pochłaniać. U niektórych starców umysłu żywego, można czasem zauważyć przywiązanie ku kobietom bardzo bliskie miłości. Nie mniej jednak pamiętać należy, że są granice, których przekroczyć nie trzeba. Różnica tak uderzająca między temi dwoma epokami, określona oddawna. Wielkie szaleństwa są przywilejem młodości, wielkie słabości należą do wieku dojrzałego. Te ostatnie są w skutkach bardzo groźne pod wielu względami; niebezpieczeństwo bowiem jest tak natychmiastowe, syrena skał tak blisko.

Stokroć szczęśliwszym może być człowiek w wieku, który przez spokój, byt dobry i rozsądek, wynagradza sobie owe napady szału starego wieku, którego następstwem nadto często jest żal i zgrzyoty bez końca!

KONIEC TOMU PIĘTYSZEĆ.